

POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCYZYŃNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień

Dnia 12-go lutego 1944r.

Rok VI. Nr. 6

PANOWANIE NA MORZU

ISTOTA I ELEMENTY POTĘGI MORSKIEJ

Panowanie na morzu należy rozumieć, jako możliwość kontroli i eksploatacji morskich szlaków komunikacyjnych, oraz uniemożliwienie korzystania z tych szlaków nieprzyjacielowi. Panowanie na morzu jest więc przede wszystkim zagadnieniem gospodarczym. W kampaniach błyskawicznych czynnik gospodarczy nie ma po prostu czasu "przyjść do głosu", zaważyć na przebiegu operacji — przy wojnie długotrwałej czynnik ten ma znaczenie podstawowe.

Bardzo często panowanie na morzu jak i potęgę morską ujmuje się dość naiwnie, rozumiejąc przez panowanie na morzu lokalną w przestrzeni i czasie przewagę środków walki, umożliwiającą wykonanie operacji kombinowanych — amfibijnych. Zagadnienie w istocie swej jest bardziej złożone. Dla naświetlenia tej sprawy, postaram się określić, co należy rozumieć pod pojęciem siła czy potęga morska.

Na potęgę morską składają się trzy czynniki materialnej — wymiernej natury i jeden czynnik natury niewymiernej — człowiek.

Jeśli chodzi o owe elementy materialne to są nimi:

a/ flota, czy ogólnie mówiąc narzędzie walki umożliwiające spełnienie przeciwnika z morza i zapewnienie bezpiecznej żeglugi własnym transportowcom;

b/ bazy, z których walczące siły mogą wyjść do walki, odpocząć po walce, uzupełnić zapasy żywności, paliwa, amunicji, naprawić uszkodzenia;

c/ dostateczna ilość transportowców zdolna przewieźć te wszystkie środki życia i walki, które państwu są konieczne do prowadzenia wojny.

Poza tym niezbędną rzeczą jest posiadanie przemysłu budowy okrętów — zdolnego do uzupełnienia strat, czy nawet do powiększenia tonażu.

Wszystkie te trzy materialne elementy, składające się na pojęcie potęgi morskiej, nie wchodzi do niej jako składniki sumy, są one raczej jakimiś współczynnikami i jeśli jeden z tych elementów równa się zeru — całość, t.j. potęga morska, równa się zeru. Każdy z wymienionych elementów — flota wojenna, bazy, flota handlowa, budownictwo okrętowe jest niezbędnym składnikiem potęgi morskiej.

GOSPODARCZA STRONA PANOWANIA NA MORZU

Myślę, że powiedzenie, iż celem siły czy potęgi morskiej jest osiągnięcie panowania na morzu — wyda się zrozumiałe. Samo zagadnienie zaś przenosi się z płaszczyzny militarnej na płaszczyznę — jak to powiedzieliśmy wyżej — gospodarczą. W wojnie dzisiejszej — całkowicie zmechanizowanej — czynnik gospodarczy występuje dobitniej, niż dawniej. Wyraża się on potrzebą posiadania żywności, surowców, przemysłu, komunikacji.

Nie ma na świecie państwa samowystarczalnego, nawet Stany Zjednoczone A.P. muszą sprowadzać niektóre surowce. Dla państw o granicach wyłącznie morskich, jak Wielka Brytania, Japonia i w pewnym sensie Stany Zjednoczone A.P. /ze względu na nikłą sieć komunikacji lądowych

Dorocznym zwyczajem, w Święto Powrotu Polski nad Morze, kierujemy naszą myśl ku Kolegom z Marynarki Wojennej. Chylimy głowy przed pamięcią tych, którzy padli w tej wojnie, złożyli ofiarnie swe ciała w olbrzymim, szumiącym grobie morskim. Serdecznym wspomnieniem obejmujemy marynarzy "Zbika," "Rysia" i "Sępa," których los skazał na ciężką, najcięższą dla żołnierza w czas wojny, dolę bezczynności. Przesyłamy bratnie pozdrowienia zalogom wszystkich Okrętów Rzeczypospolitej, gdziekolwiek się w tej chwili znajdują. Łączymy się z nimi w życzeniu najrychlejszego powrotu na polski Bałtyk, na polską ziemię o Bałtyk opartą, — niepodległą i nieumniejszoną.

krajów Ameryki Środkowej i Południowej/ jedyny środek komunikacji gospodarczej stanowi /jak dotychczas/ morze, a jedynym sposobem utrzymania tego środka jest — panowanie na morzu.

Ale i dla państw t.zw. kontynentalnych zachowanie morskich linii komunikacyjnych jest nieodzowne. Źródła surowców, żywności, czy gotowych narzędzi pracy czy walki w większości wypadków leżą za morzami. Żeby je otrzymać, trzeba osiągnąć panowanie na morzu. Inaczej blokada wygłodzi kraj, doprowadzi do wyczerpania zapasów surowców i gotowych narzędzi walki, co w następstwie zmniejsza odporność państwa na atak, co znowu dla nieprzyjaciela jest najlepszą zachętą do ataku i t.d., aż zamykając koło udrczeń — stajemy przed widmem kapitulacji i wewnętrznych przewrotów.

Potrzeba utrzymania komunikacji morskich istnieje i w skali mniejszej — wiedzą co o tym nasze kontrtorpedowce i ścigacze operujące w Kanale. Niemcy usiłują wykorzystywać przybrzeżne szlaki komunikacyjne dla zaopatrywania swych armii okupacyjnych w Danii, Holandii, Belgii, Francji. Drogi, koleje, kanały — nie wy-

starczają.

Tak samo zresztą setki konwojów kursuje na około wysp brytyjskich. W obu tych wypadkach komunikacja morska ma charakter komunikacji wewnętrznej, jest niejako zwiększeniem lądowej sieci komunikacyjnej. Ale eksploatacja tych dróg komunikacyjnych zależy znowu od panowania na morzu.

Wydaje się, że w tym szkicowym ujęciu podkreślony został dostatecznie wpływ panowania na morzu na życie gospodarcze państwa, a więc i na jego potencjał wojenny. Można by tu jeszcze dodać, że morskie szlaki komunikacyjne służą nie tylko do przywozu, ale i do wywozu — państwo wojujące mimo olbrzymich potrzeb spożywczych wojny musi wytwarzać jeszcze dobra i na wywóz — musi coś eksportować, aby móc importować materiały niezbędne do prowadzenia wojny.

PANOWANIE NA MORZU A OPERACJE MILITARNE

Jeżeli byśmy chcieli ukazać wpływ panowania na morzu na operacje w czysto militarnym tego słowa znaczeniu — to kampanie na brzegach Morza Śródziemnego dostarczają doskonałego przykładu wzajemnej zależności operacji lą-

dowych i morskich.

Nie rozpatrując nawet taktycznych współdziałań floty z VIII-mą Armią, jako osłony jej prawego skrzydła, czy uniemożliwienia wycofania się Włochów drogą morską z Tobruku, czy Bengazi, ogólnie można powiedzieć, że gdyby wojsko nie utrzymało Egiptu, flota nie mogłaby pozostać na Bliskim Wschodzie; gdyby zaś nie flota, kontrolująca szlaki komunikacyjne, nie można by dostać posiłków w ludziach i sprzęcie, natomiast umożliwiło by się nieprzyjacielowi przewiezienie dostatecznej siły, zapewniającej zwycięstwo nad siłami lądowymi.

W operacjach tych klasycznie ujawniło się, że zadaniem wojska jest utrzymanie baz, a zadaniem floty wzmocnienie wojska.

Ostateczne opanowanie Afryki odbyło się przy pomocy dwu elementów potęgi morskiej: floty wojennej i floty transportowców, które przewiozły armie sprzymierzone na ląd afrykański i umożliwiły opanowanie trzeciego elementu — baz. Odtąd sprzymierzeni panują na Morzu Śródziemnym.

—Tak—powie cierpliwy czytelnik — ale mimo obecności floty brytyjskiej na Morzu Śródziemnym, flota włoska przewiozła kor-

pus Rommla i olbrzymie zapasy sprzętu, umożliwiające przeprowadzenie ofensywy.

Odpowiedzią na to będzie, że panowanie na morzu nie jest nigdy czymś absolutnym czy stałym, ale trzeba o nie bez przerwy walczyć. Nie należy bowiem zapominać, że w walce o panowanie na Morzu Śródziemnym stroną słabszą była — strona brytyjska, tak pod względem ilości i jakości okrętów, jak i pod względem położenia baz. Zwycięstwo odniósł ten czwarty niewymierny czynnik — człowiek — o którym wspominaliśmy przy określaniu potęgi morskiej.

PANOWANIE NA MORZU I PANOWANIE W POWIETRZU

—Tak — rzeknie inny — ale nie slyszalem ani słowa o lotnictwie, które przecież wywarło olbrzymi wpływ na przebieg wszystkich kampanii tej wojny. Gdzie się zaczyna panowanie w powietrzu, a gdzie panowanie na morzu?

A więc słowo o lotnictwie. Jako jeden z elementów potęgi morskiej wyliczyliśmy... "narzędzie walki umożliwiające spędzenie przeciwnika z morza," nie precyzując, czy to ma być ścigacz, okręt podwodny, pancernik czy samolot. Chodzi tylko o narzędzie walki.

Prezydent Roosevelt w swej mowie z 26.V.1940 powiedział: "In sea operations the aircraft is just as much an integral part of the unity of operations as the submarine, the destroyer and the battleship. The fleet that has planes is going to beat an equal fleet without planes." W tej samej mowie podzielił okręty na "ships that sail on the surface of the ocean, ship that move under the surface and ships that fly."

Major Sewersky w swej, z dużym temperamentem napisanej, książce p.t. "W potęgę powietrznej zwycięstwo" jeden z rozdziałów zatytułował: "Zmierzch potęgi morskiej." Uzasadnienie tego twierdzenia ma stanowić fakt zatopienia kilku okrętów wojennych przez samoloty.

Jak powiedzieliśmy, same okręty wojenne nie tworzą potęgi morskiej, ani nie zapewniają panowania na morzu, co stanowi jej rację bytu. Czy cel ten będzie osiągnięty siłami na - wodnymi, pod-wodnymi czy nad-wodnymi jest kwestią wyboru środków, zagadnieniem technicznym, a nie doktrynalnym.

Wydaje się, że samolot nie zwężył pojęcia "panowanie na morzu," ale po prostu wprowadził nowy środek, nowe narzędzie walki, które jest jednym z elementów potęgi morskiej.

Na zakończenie pozwolę sobie przytoczyć zdanie o zeszej wojnie jednego z najwybitniejszych pisarzy wojskowych, generała Fullera: "Wojna światowa była przede wszystkim walką o żywność i zaopatrzenie. Była w znacznym stopniu walką między ośrodkami przemysłowymi, niż między wojskiem i flotą obu stron. Decydującą rolę odegrała nie przewaga sił militarnych, ale przewaga środków i źródeł pomocniczych. Najskuteczniejszymi operacjami były: brytyjska blokada morska i niemiecka wojna podwodna.

Morze, a nie ląd, okazało się decydującym elementem."

WIZJA BOSMANA

Na okręcie, od rana,
Ciągłe slychać bosmana,
Bez potrzeby cholernie się drze.
Choćby ręce poranił,
Bosman zawsze cię zgani:
"To" — powiada — "zrobione jest źle."

"Jeszcze raz czyścić działo!
Co się chłopcy wam stało?
Jak do kotła to każdy się pchnie!
To nie balia! Nie niecka!
Trzeba wiedzieć od dziecka,
Że to okręt wojenny R.P.!"

Czasem jednak się zdarza,
Że się bosman rozmarza,
Każdy dobrze bosmana już zna...
Gdy ktoś tylko poprosi,
Swą harmonię przynosi,
Siada w kącie, na rufie i gra...

Zapytajcie go tylko,
O czym myślał przed chwilką,
Czemu nagle pojaśniał mu wzrok:
"Hej, bo w Gdyni" — odpowie —
"Będę chodził na głowie!
Tak mi jakoś podpada ten rok!"

"Bosman cwany jegomość,
Ale skąd ta wiadomość?" —
Wśród zalogi odezwie się głos.
A on na to: "Nie pytać.
Łbem kapować. Z gwiazd czytać.
Marynarski, solidny mieć nos!"

"Niechaj każdy nos przetrze
I stanąwszy na wietrze,
Niech odetchnie głęboko — ot tak!
Bo jak w Boga wciąż wierzę,
Pachnie polskim wybrzeżem!
A to ważny, szczęśliwy jest znak!"

"To wam jedno wyłożę,
Że kto zbratał się z morzem,
To na zawsze. Do końca. Po grób.
Wróg swe siły przecenia.
Nikt nie wydrze pierścienia,
Który Polsce z Bałtykiem dał ślub.

"Przy pierścieniu są straża,
Polska brać! Marynarze!
Na dnie morza znaleźli swój dom.
Są tam groźne i ciche:
'Gryf,' 'Kujawiak' i 'Wicher,'
'Jastrząb,' 'Orzeł,' i 'Orkan' i 'Grom.'

"Czy daleko, czy blisko,
To nie ważne jest wszystko,
Czemu kurs nas prowadzi na cel,
Każdy wiatr się przyczyni —
DOPLYNIEMY DO GDYNI!
Z Atlantyku już widać nasz Hel!"

Bosman skończył. Wiatr ściuchał.
Aż tu nagle — do licha!
Coś srebrzyście zabłysło we mgle —
"Bacność!" — krzyknął — przy działach —
Poznał Ją. Polska stała —
Na pokładzie okrętu R.P.

RYSZARD KIERSNOWSKI

BOHDAN WRONSKI

RÓWNE I ŁUCK

Przerwa w działaniach na froncie południowym została zakończona. Wojska sowieckie zajęły Łuck i Równe. Niemcy zostali zamknięci w saku pod Kaniowem. Nie sposób stwierdzić, ile ich jest — 10 czy 5, a może tylko 3, ale to jest pewne, że dowództwo sowieckiemu powiodło się przylapać jednostki niemieckie, które najwidoczniej ufały, że jednak nie zerwa się klamry dwóch sowieckich armii ukraińskich. Obecnie dywizje niemieckie są w potrzasku i nie nie wskazuje na to, by mogły się z niego wydobyć. Próby są czynione, „Junkersy” zasilają przylapaną jednostkę z powietrza, ale wszystko to pachnie nowym Stalingradem w pomniejszonym wydaniu.

W Estonii działania sowieckie mogą się pochlubić zajęciem wcale sporych połaci kraju. Z Tallina i Rygi rozpoczęła się już masowa ucieczka, i to nie tylko ludności niemieckiej. W Prusach Wschodnich przygotowano pono, jak podaje Sztokholm, pomieszczenia dla półtora miliona ludności. Chodzi tu, jak powiadają te doniesienia, nie tylko o Niemców z krajów bałtyckich, ale także o mieszkańców tych krajów, a także i Polaków z kresów wschodnich. Ucieczka z krajów bałtyckich przybiera charakter zarówno masowy, jak paniczny. Odbywają się walki o miejsca w pociągach, przy czym ludzie jadą na dachach wagonów; niektóre samochody, którym zabrakło benzyny, ciągnięte są przez konie; na szosach tłoczono jest od rowerów i wszelkich pojazdów.

Rozkaz dnia wydany przez Stalina dnia 5-go powiada o dużym znaczeniu zwycięstwa pod Równem i Łuckiem. Armie sowieckie prą naprzód, niemieckie cofają się. Sprawozdawca „Timesa” w depeszy ze Sztokholmu powiada, że niemieckie dowództwo stosuje metodę uchylania się /*evasive action*/. Sposób ten istotnie zarysowuje się w wielu akcjach niemieckich. Można by go porównać z metodami ringu bokserkiego: „unki” są sposobem, do którego ucieka się nieraz słabszy przeciwnik — fizycznie słabszy, ale technicznie lepszy — który wie, że przetrzymanie furii ciosów atakującego możliwe jest wtedy tylko, jeżeli wyczerpie on chociaż trochę swoją energię przez uderzenie w pustkę. Armia niemiecka stosuje takie „unki” w wielu punktach, a przypuszczać wolno, że pod Leningradem armia czerwona miała wcale łatwe zadanie. „Unki” są metodą dobrą wtedy, jeżeli na ringu jest wiele miejsc. Ale gdy przeciwnik atakujący przyprze do sznurów boksera stosującego „unki”, wtedy ten ostatni ma do wyboru albo przejść do natarcia, albo dostać potężne cięgi.

Armia niemiecka uważa najwidoczniej, że może się jeszcze cofać, że starszy jej jeszcze ringu. Czy tak jest istotnie, pokaże się dopiero. Jeżeli nie przejdzie ona w kwietniu do przeciwuderzenia, to wtedy los

Szkic sytuacyjny

jej nie będzie przedstawiać się wesoło. Miejsca na ringu będzie do tego czasu niewiele, a lotnictwo sowieckie dobieże się wtedy do zaplecza, a więc i do Prus Wschodnich.

Pisma angielskie zwracają uwagę na fakt, że trzymanie petli pod Kaniowem przez czas tak długi było koniecznością, albowiem Niemcy uważali ten bastion za przedpole Odessy. Dzisiaj zyskali oni o tyle na czasie, że umocnili swoje zaplecze i że będą bronić Odessy. Zdecydowali się więc nawet na stratę dywizji pod Kaniowem, byle tylko zyskać na czasie. Tymczasem to wydaje się słuszne, albowiem osłona Rumunii jest niebywale ważna dla całej maszyny wojennej Rzeszy. Wpuszczanie zaś wojsk sowieckich — oczywiście spowodowane naciskiem — do Polski oraz do państw bałtyckich, kryć może za sobą pewne cele polityczne.

KAMPANIA POLITYCZNA

Jakoż istotnie, cele polityczne Niemiec mogą polegać dzisiaj na tym, ażeby Rosja przed jej rzuceniem swoje karty. Nie wiemy czy taki — oczywiście tylko między innymi — jest cel niemieckiego odwrotu na tych liniach, ale pewne jest, że Moskwa rzuca karty. Przez ogłoszenie zmian w swoim ustroju wyjaśnia ona rzeczy, które dla pewnych ludzi ciągle jeszcze pozostawały w zawieszaniu. Mianowanie p. Kornijczuka ministrem spraw zagr. Ukrainy jest dalszym krokiem w tej polityce dalekiej mety.

Zmiany w ustroju sowieckim są zagadnieniem zbyt skomplikowanym, ażeby dyskutować je w toku przeglądu sytuacyjnego. Poświęcić by im należało osobny

rozbiór. Nie mniej jednak wydaje się pewne, że zmiany te obliczone są na echo zagranicą, jak i na to, ażeby stworzyć rami, które byłyby „liberalne i pociągające” dla państw sąsiadujących z Rosją. Na razie powiedziano wyraźnie, że kraje bałtyckie wchodziły w skład Rosji, że Karelia fińska ma także wejść w skład Rosji, podobnie jak Mołdawia, zachodnia Ukraina i Białoruś. P. Kornijczuk ogłosił zapewne niebawem z Kijowa manifest zjednoczenia całej Ukrainy.

„Observer”, pisząc z dnia 6.II. o tych posunięciach stwierdza, że teraz Ukraina będzie stawiała swoje żądania wobec Polski i że żądania te będą ostrzejsze, aniżeli żądania Moskwy. Już w czasie narad najwyższego sovietu w Moskwie delegacja ukraińska powiedziała, że „linia Curzona nie wystarcza” i że ziemię „na zachód od tej linii” winny być włączone. Powołała się ona na inną linię /przez wstydlivost nie podała pewnie nazwy tej linii i nazwisk jej autorów/.

Otwiera to wszystkie perspektywy bardzo niepokojące. Nie tylko nas. Ten sam „Observer” w artykule z dnia 6.II. powiada, że skoro Rosja idzie na politykę tworzenia państw lennych na swoim obwodzie, to w takim razie powstaje pytanie, czy Anglia nie musi przystąpić do podobnej polityki pozyskiwania sobie państw w pasie zachodu Europy? Pismo to obawia się, że polityka sowiecka może pośćć na rozbijanie Rzeszy na państwa i że pewne państewka Rzeszy mogą opowiedzieć się za przynależeniem do Sowietickiej Wspólnoty Narodów.

Wydaje się, że plan sowiecki — jakkolwiek nań spojrzeć — jest

drugim, obok hitlerowskiego, planem „nowego ładu” w Europie. Ponieważ plan Hitlera jest skompromitowany, pozostaje tylko sowiecki. Strona sojusznica ma w tej chwili ostatnią prawie szansę powiedzenia, co myśli o przyszłości Europy. Jeżeli tego nie powie, to siłą rzeczy planem, który zostaje na placu jest właśnie plan sowiecki.

Na tym tle zarysowuje się wniosek, że nie tylko wojna wydaje się przeciągać, ale że również zagadnienie ustalenia Europy, pozytywnie dla niej spokoju i ładu, zaczyna wyglądać coraz mgliściej, że nie wiemy, kiedy i jak zakończy się walka o oblicze tej Europy.

WE WŁOSZECH UTKNĘŁO

Przyczółek pod Anzio atakowany przez siły Kesselringa trzyma się, ale nie przedchodzą do większej akcji. Fakt, że wojska niemieckie zdolały tak szybko przyjąć do siebie, że atakują, że podejmą zapewne dalsze uderzenia, nie jest nadmiernie pocieszający. Podobnie na linii pod Cassino powodzenia są mierne. Wydaje się, że Niemcy wykorzystali rzeki włoskie i spowodowali wylewy tych rzek, zamieniając doliny w mokradła. Wszelkie postępy są wolne, warunki złe, możliwości użycia czołgów oraz działania lotnicze ograniczone.

Jako lekcja inwazyjna Anzio jest ostrzeżeniem. Zapewne tak to rozumie dowództwo sojusznicze.

BOMBARDOWANIA NIEMIEC

Działania lotnicze przeciw Niemcom idą dalej, chociaż kapryśnie. W ciągu dnia amerykańskie maszyny dokonały wypadów w poważnej liczbie. Berlin jest dalej

Z tygodnia na tydzień

31 stycznia: W nocy z 30/31 lotnictwo brytyjskie bombardowało silnie Berlin. Od dnia 18.XI.43 w czasie 14-stu nalotów na Berlin zrzucono ponad 21.000 ton bomb.

1 lutego: Wojska amerykańskie wylądowały na Wyspach Marshalla, na Pacyfiku.

Najwyższy Sowiet uchwalił jednomyślnie zmianę konstytucji Z.S.R.R. zapewniającą republikom związkowym możliwość nawiązywania bezpośrednich stosunków z obcymi państwami i zawierania układów z nimi oraz możliwość organizowania własnych oddziałów sił zbrojnych w ramach Czerwonej Armii.

2 lutego: Wojska sowieckie wkroczyły do Estonii, niedaleko Narwy.

3 lutego: Ogłoszono, że wojska sowieckie okrążyły 10 dywizji

niemieckich między Kirovogradem a Białą Cerkwią, nad środkowym Dnieprem.

Niemcy podali, że ewakuowali Równe i Łuck.

Lotnictwo amerykańskie bombardowało b. silnie za dnia Wilhelmshaven. W działaniach tych wzięło udział ponad 1.100 samolotów.

Polskie dywizyjony myśliwskie dwukrotnie ostatnio wyprawy bombowe. Wszyscy piloci polscy powrócili.

4 lutego: Ujawniono, że w dniu 9.I.44 Delegat rządu R.P. w Kraju podał do wiadomości fakt powołania do życia Rady Jedności Narodowej, stanowiącej polityczną reprezentację społeczeństwa polskiego.

W nocy z 3/4 polskie samoloty bombowe patrolowały nad Zatoką Biskajską oraz przeprowadzały inne

zadania bojowe. Wszystkie samoloty polskie powróciły szczęśliwie.

Polskie dywizyjony myśliwskie wykonały patrol ponad terenem nieprzyjacielskim. Wszyscy piloci polscy powrócili.

5 lutego: W nocy z 4/5 polskie samoloty bombowe brały udział w operacjach bojowych. Wszystkie załogi polskie powróciły.

W Moskwie ogłoszono o zajęciu Łucka, Równego, Ostroga, Zdobunowa i Kótków przez wojska sowieckie.

W nocy z 4/5 amerykańska marynarka wojenna ostrzeliwała bazy japońskie na wyspach Kurylskich.

6 lutego: W Moskwie ogłoszono, że wojska sowieckie przełamały linie niemieckie koło Kreywego Rogu i Nikopola. W rejonie Nikopola okrążono 5 dywizji niemieckich.

Nowości lotnicze

rozpoczęcia przez Aliantów działań inwazyjnych na Francję, zdarzyć się może, iż naloty będą liczniejsze i bardziej intensywne, szczególnie gdyby Luftwaffe usiłowała sparaliżować w Anglii węzły komunikacyjne, z których londyński jest chyba najważniejszy.

Berlin jest w dalszym ciągu bombardowany przez Brytyjczyków bez przerwy, równocześnie i R.A.F. i Amerykanie bombardują w dzień i w nocy inne cele strategiczne Niemiec. Zdaniem kół neutralnych Alianci chcą zlikwidować Berlin nie tylko jako stolicę Niemiec, lecz także jako jeden z najważniejszych centrów przemysłu wojennego i komunikacji. Działania te uwiecznione są niewątpliwym sukcesem tak pod względem moralnym jak i wojskowym.

Sir Archibald Sinclair został zainterpelowany ostatnio przez jednego z najważniejszych dziennikarzy „Timesa”, czy rzeczywiście bombardowanie Niemiec daje rezultaty.

Sir Archibald odpowiedział mniej więcej tymi słowy: „Efekt jest ogromny, nie ma pod tym względem najmniejszych wątpliwości. Jednak precyzyjne ustalenie rezultatów jest niemożliwe. Nawet fotografie nie są w stanie oddać pełnego obrazu zniszczenia, a co dopiero jego skutków. Pamiętać należy, że między zniszczeniem jakiegos centrum produkcji, a rezultatami tego zniszczenia jest zawsze duża przerwa w czasie. I tak n.p. wielkie ataki na zakłady przemysłowe Kruppa, które rozpoczęły lotniczą ofensywę Aliantów na Niemcy dały się odczuć w swych wynikach w wiele miesięcy później w czasie działań jesiennych na froncie wschodnim. W tej chwili także mamy możliwość odczuwania pewnych rezultatów.”

Niewątpliwie konkretnym wynikiem wspólnych wysiłków angielsko-amerykańskich jest wyraźny spadek produkcji w niemieckim przemyśle lotniczym. Cyfr dokładnych w tej chwili podać jeszcze nie możemy, lecz niewątpliwie podzielmy się nimi niebawem z naszymi Czytelnikami.

Dalszym konkretnym wynikiem jest fakt, że Luftwaffe została zmuszona do skoncentrowania trzech

czwartych swego efektywu nad terenem niemieckim, do obrony celów wewnętrznych. Zabrakło tedy myśliwców na polach bardzo ważnych, bodajże decydujących bitew, jak n.p. na froncie wschodnim czy w Italii.

Dlatego właśnie lotnictwo Aliantów w tak krótkim czasie było w stanie zapewnić sobie bezwzględna przewagę w powietrzu w bitwie o Rzym. Trzeba podkreślić z podziwem wysiłek tego lotnictwa właśnie na tym froncie. Bywały dni, kiedy liczba lotów wykonanych nad terenem nieprzyjaciela dochodziła do 1500 w ciągu 29 godzin. W trzecim i czwartym dniu inwazji zesłano 86 samolotów niemieckich w stosunku do własnych strat dwudziestu. Jest to nie tylko powrót, lecz i przekroczenie rekordów z Battle of Britain. W ciągu Battle of Britain sukces ten był prawie stały 1: 3 na niekorzyść nieprzyjaciela. Obecnie prawie zawsze stosunek podwyższa się właśnie po stronie Luftwaffe i teraz przeciętna na froncie południowym wynosi 1: 4, czyli, mówiąc dokładnie, na jeden stracony własny wypada cztery stracone nieprzyjacielskie.

Działanie lotnictwa i jego sukcesy w Italii zapewniły w dużej mierze ostateczny sukces wojsk Sprzymierzonych na lądzie. Żadna niemiecka akcja na większą skalę, nie będzie mogła się rozwinąć bez chwilowej choćby przewagi w powietrzu. Tej przewagi Luftwaffe nie jest w stanie zapewnić swym dywizjom nacierającym od strony Rzymu.

W tych wszystkich działaniach lotnictwo amerykańskie odgrywa bardzo poważną rolę, a odgrywać będzie w przyszłości jeszcze poważniejszą. Jego siła wzrasta. Naloty na Niemcy są coraz częstsze i coraz liczniejsze. Wyrobienie załóg amerykańskich jest coraz lepsze. Taktyka stosowana w nalotach dziennych jest dobra, gdyż naloty przeprowadzane są przy coraz mniejszych stratach. Wskazywać to może i na inną jeszcze kwestię, mianowicie na to, iż obrona niemiecka słabnie, mimo olbrzymich mas myśliwców rzuconych do tej obrony. Przypuszczamy, że przyczyna osłabienia

„celem nr. 1.” Zniszczenie tego miasta jest najwyraźniej zamiarem sojuszników.

W sumie bombardowanie Berlina ma większe militarne znaczenie, aniżeli przyczółek pod Anzio. Poraża to bowiem moralnie Niemców, uderza w splot słoneczny Rzeszy. Wrażenie na mieszkańców całej Rzeszy musi być wielkie, albowiem wieść o ciosach, jakie spadają na Berlin roznosi się na kraj cały — tak jest we wszystkich krajach i stolicach ma ten przywilej wszędzie. O ile bombardowania Nadrenii mogłyby być odczute w promieniu kilkuset kilometrów, to łomotanie bombami w Berlin idzie wszędzie, do najdalszego kąta Rzeszy, budzi złe nastroje i najgorsze przeczuca.

Doniesienia neutralne podkreślają, że w samym Berlinie straty w ludziach są znaczne, ale że na miejscu apatii, która widoczna była dawniej, wystąpiła pewna zawziętość. Ta determinacja, powiadają źródła neutralne, udziela się również armii niemieckiej walczącej na Wschodzie. I tam żołnierze niemieckie w tym roku bije się na ogół lepiej, widoczny jest upór, który był słabszy w r. ub. Im bliżej granic Rzeszy, powiadają doniesienia tych, co niedawno mieli sposobność oglądać wypadki w Niemczech oraz na froncie wschodnim, tym żołnierze niemieccy zaczynają zyskiwać na zaciekłości.

Podobne raporty nadchodzą z frontu włoskiego. Niemcy wzięci tam do niewoli, jakkolwiek wielu z nich należy do bardzo młodych roczników, wykazują wiele zaciekłości i bynajmniej nie myślą o poddawaniu się.

Te wszystkie fakty sprawiają, że prasa brytyjska, która na jesieni ub. roku wyraźnie napomykała o klesce Rzeszy i snuła porównania z r. 1918-ym, obecnie przyjęła bardziej trzeźwy pogląd na rzeczy i uważa, że boje będą być może dłuższe niż myślano. Szereg mów wygłoszonych przez rozmaitych mężów stanu i polityków zarówno w W. Brytanii jak U.S.A. wskazuje na to, iż uznano za wskazane pohamowanie nadmiernego optymizmu i że przygotowuje się społeczeństwa tych krajów do dłuższych zmagania.

Prasa amerykańska stara się również wykazywać w czasach ostatnich, że wojna z Japonczykami będzie czymś bardzo długim, albowiem Japończycy okazali się żołnierzami niebywałego fanatyzmu, walczą oni nie jak ludzie, ale jak zwierzęta, metody ich zdumiewają żołnierza rasy białej. Nic dziwnego, skoro Japonia jest najstarszym z istniejących systemów totalnych, skoro państwo jest tam oddawna bogiem, skoro ofara życia ludzkiego jest tam uważana za przywilej, skoro wszelkie demokratyczne pomysły w Japonii nigdy nie miały powodzenia ani uznania.

Londyn, dnia 6.II. 1944.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Prasa niemiecka rozpisuje się szeroko i długo o ostatnich niemieckich nalotach na Londyn i na Południową Anglię. Według tej prasy w nalotach tych brało udział łącznie około 600 maszyn, o potężnym udźwigniu. Komunikaty podkreślają doskonale wyniki nalotu, zaskoczenie Brytyjczyków, wreszcie i to, że Londyn uciepiał wlecie od ognia i od eksplozji. Przygotowania do nalotów w Anglii się odbywały podobno w tak wielkiej tajemnicy, że angielska obrona przeciwlotnicza była zaskoczona zarówno siłą jak i ilością samolotów. Przynajmniej do strat: dwadzieścia cztery samoloty nie wróciły do swych baz. Naturalnie zwracają uwagę na fakt, że strata 24 samolotów w stosunku do użytych 600 jest minimalna.

Tak byłoby rzeczywiście, gdyby w nalotach wzięło udział 600 maszyn. Niestety nie można było doliczyć się liczby większej, niż stu osiemdziesięciu we wszystkich razem, to znaczy trzech nalotach. Z tego nad Londynem w pierwszym, drugim i trzecim nalocie nie było więcej jak po 30. Air Ministry jest rzeczywiście zaskoczona, lecz tylko tym, że według brytyjskich danych stracono jedynie 16 samolotów. Lecz skoro Niemcy przynajmniej do dwudziestu czterech — trudno, można przyjąć tę cyfrę jako prawdziwą. W jednym wypadku tylko nie należy oczekiwać zgody Air Ministry: mianowicie w obliczeniu procentu strat do całości sił użytych. Według wersji brytyjskich straty po stronie niemieckiej wynoszą około 20%, gdy według obliczeń niemieckich straty te wynosiłyby zaledwie niepełne 4%.

Czy w najbliższym czasie należy spodziewać się dalszych nalotów na Londyn i czy będą one na szerszą niż dotychczas skalę, oto pytanie, które zadają sobie liczni Londyńczycy, budzeni wściekłym hałasem wzmożonej obrony ziemnej. Na pewno spodziewać się należy rychłego powrotu. Luftwaffe potrzebuje pewnych propagandowych efektów nie tylko dla ludności cywilnej Niemiec lecz i dla swoich własnych pilotów, których zastanawiała długotrwała bezczynność. Nie sądzimy jednak, by Luftwaffe była w stanie w obecnej sytuacji zaangażować w podobnych operacjach każdorazowo więcej niż 150 maszyn.

Trzeba się jednak liczyć z faktem, że stany obecne po stronie niemieckiej są dość płynne. Z chwili

angielsko-amerykańskie. Oznacza to forsowanie zasady wolności powietrza bez uszczerbku dla zasadniczej suwerenności państw, wyeliminowanie monopolu państwowego z przyszłej komunikacji, w każdym razie z lotniczych linii dochodowych, wreszcie zapewnienie bezpieczeństwa międzynarodowego przez kontrolę międzynarodową komunikacji powietrznej, co równocześnie otwiera drogę do międzynarodowej powietrznej kontroli militarnej, a więc do stworzenia Międzynarodowych Sił Powietrznych.

Wielka Brytania jasno dała do zrozumienia ustami swych mężów stanu, że oddaje swe bazy lotnicze do dyspozycji wszystkich państw, oczekując jednak, że inne państwa uczynią to samo. Jest gotowa i posiada dane po temu, by zwołać międzynarodowy kongres lotniczy, na którym ustalono by zasady organizacyjne powojennego świata lotniczego. Wielu z zainteresowanych w lotniczej polityce uważa, że kongres ten jest sprawą najbliższej przyszłości. Pozwolimy sobie jednak z naszej strony wyrazić pewną wątpliwość, czy nastąpi to aż tak prędko. Możemy wnioskować z rozmaitych objawów na rynku międzynarodowym, że nie wszyscy Alianci będą odnosił się do rozważań proponowanych przez Wielką Brytanię z entuzjazmem, szczególnie ci, którzy przypuszczają, że rynek lotniczy powinien stać się własnością najsiłniejszego.

Cały problem organizacji powojennego świata lotniczego ma niezmierną wagę dla Polski, nie tylko ze względu na jej udział w tej organizacji, lecz dla wielu innych względów politycznej natury. Nie każda wolność powietrza i nie każda forma międzynarodowania będzie dla niej bezpieczna i odpowiednia.

Ważne rzeczy dzieją na świecie. Należy jednak przynajmniej szczerze do jednego faktu: Wielka Brytania robi co może, by nadrobić czas stracony. Czy Polska uczyniła wszystko by go także nadrobić? Nie brak nam ani ludzi, ani możliwości, ani inicjatywy. Inne są przyczyny, że na to pytanie nie możemy odpowiedzieć z czystym sumieniem: tak.

Przypuszczamy, że ukonstytuowanie się Państwowego Rady Lotniczej wyprowadzi nas z obecnego impasu.

M. J. GORDON

Polska — żywymi oczami

Powszedni dzień terroru



Na placu polskiego miasta



Doraźna egzekucja

wszystko w porządku, szło się dalej. Uważnie, spokojnie, ze zwierzęcą już wprost czujnością.

Nie sposób nieraz zauważyć, nie sposób ominąć zbira ubranego po cywilnemu, wylaniającego się zza rogu, nie wiadomo kiedy usłyszysz się fatalne "Kommen, sie mit." Zza węglów kamienic, zza rogów wylaniają się nowe postacie łapaczy, nowe sylwetki ofiar. Z pojedynczych cieni zbierają się gromadki, kierowane do chytrze chowanych za wykuszami cichej ulicy Pijarskiej, dyskretnie skrytych w wąwozie Reformackiej zielonych aut. Stłoczeni w ciężarówce jeszcze mają chwilę, w której serca biją choć cieniem nadziei, jeszcze wyczekują z dwóch kaźni—lżejszej. Z zakrętów drogi ujrzą za chwilę, czy wiozą ich do *Arbeitsamtu* na Lubelską, czy na Montelupich. Opuuszczona tajemnie na bruk karteczka da ślad rodzinie, która będzie czekała na próżno.

Ludzie skierowani na Montelupich mają przed sobą los najstraszniejszy: mękę "przesłuchań" wśród tortur, z których wyratuje tylko śmierć-zbawienie, pomoże sprytnie schowana trucizna. Tych co przebrną przez piekło wielokrotnych przesłuchiwań na Pomorskiej, gdzie przez gorzką ironię losu na gmachu Domu Śląskiego powiewa czarny sztandar Gestapo, po parotygodniowym pobycie w więzieniu wywozi się do obozów koncentracyjnych. Przepelnienie Pawiaka w Warszawie, Montelupich w Krakowie, to dwie naraz zapowiedzi: więźniowie wyjadą do Oświęcimia, Majdanka czy Menthausen. Nowe łapanki uliczne dostarczyć muszą nowych ofiar.

Nie jest łatwo "przepelnić" więzienia: w celi na 8 osób siedzi w brudzie, robactwie, zaduchu i zimnie 50 osób. Co dwa, trzy miesiące wywozi się więźniów do obozu. Mimo to liczba ich nigdy nie spada. Z Oświęcimia i Majdanka często po trzech dniach, po tygodniu, przeciętnie po paru tygodniach, rodzina dostaje telegram o śmierci. Depesza jest zredagowana bardzo rzeczowo — chory zmarł na serce, żołądek lub płuca; i brak medycznych określeń. Można jeszcze otrzymać krwawy szmat ubrania; nawet urnę z popiołami. Czasem nawet przez pomyłkę w ciągu tygodnia dwie urny z tym samym nazwiskiem. "Ordnung" przede wszystkim.

Są tacy, którzy nawet z Oświęcimia wracają, miledzą jak grób o tym, co przeyli, ale mak wietolysięcnej masy ludzkiej nie utrzyma się w tajemnicy. Jest szpital na terenie obozu oświęcimskiego, gdzie bandażuje się rany papierem. Zbiera się do szpitala słabych, chorych, żeby, gdy liczba ich sięgnie paruset, wytruci ich gazem. Po epidemii tyfusu plamistego latem 1943 r. 500 ozdrowieńców zgładzono w komorze gazowej, wszystko z "humanitaryzmu," żeby zapobiec epidemii. Kto nie jest już dość wydatną siłą roboczą — a w drelichach, o zupce - wodziance sypko się siły traci — ten ginie bez apelacji w męce, w najsroższym poniżeniu.

Są dni, w których poczta krakowska otrzymuje naraz 400, 600, 800 depesz o śmierci w obozach. Gdy zawiadomienia są zbyt masowe, wystarczą gestapowic,



Dobijanie ofiar



Na pobojowisku

który obejdzą miasto na motocyklu i odczytują rodzinom z brulionu nazwisko i datę śmierci.

Ten łańcuch: ulica, więzienie, obóz, grób — to droga "łapanki politycznej." Łapanka taka może trwać dzień, może też, z przerwami, i kilka miesięcy. Spada jak piorun, zaskakuje bez powodu, w nieoczekiwanym miejscu i czasie. Z takiej łapanki politycznej, która jest represją, chęcią złamania woli narodu i zniszczenia jego rdzenia, nie wypuszcza się na ulicy nikogo, prócz Niemców i *Volksdeutschów*; zabiera się również starców, kobiety i dzieci. Na szerokiej ruchliwej ulicy, ratuje czasem jakaś przechodnia brama, uda się czasem w zamieszaniu ucieczka, na malej cichej ulicy nie ma ratunku... Wyloty ulicy obstawia S.S. Mani, z każdej bramy wystają karabiny z bagnietami na broń, słyhać krzyk zaskoczonych ofiar, ryk "Halt!" — i odjazd ciężarowych samochodów.

W ten sam technicznie sposób odbywają się "łapanki na roboty." Inny jest jednak ich cel. Te "polowania na ludzi" mają swe określone pory, uzależnione od toku robót rolnych. Pierwsza fala wczesną wiosną, następnie latem przed żniwami i jesienią przed kopaniem ziemniaków. Zagadnieni na ulicy są dokładnie legitymowani, zaświadczenia *Arbeitsamtu* są na ogół honorowane, podczas, gdy w "łapance politycznej" drze się nawet najbardziej poważne zaświadczenia pracy.

Wywiezieni na roboty stają się niewolnikami Rzeszy. Ilu z nich przeżyje wyzysk, głód, upokorzenia i bombardowania? Ilu wróci? Jest ich ponad milion. Niemcy

niszczą naród, stosując podwójną selekcję: na roboty idą młodzi, zdrowi, silni fizycznie, w obozach ginie świat inteligencji.

Przychodzą nieraz takie miesiące, czy dłuższe nawet okresy czasu, gdy atmosfera Polski pod okupacją staje sięomal nie do zniesienia. Takie natężenie przychodzi najczęściej na wiosnę, kiedy kontrast bujności i piękna natury z potwornością życia ludzkiego staje się ciężarem ponad ludzkie siły, kiedy odczuwa się niemal potrzebę wyładowania rozpaczy, potrzebę krzyku, płaczu.

Nieszczęścia mają swą dziwną seryjność. Po pierwszej katastrofie ludzie powtarzają sobie zbielalymi wargami: "Zaczyna się." Pamiętam taką wiosnę w Krakowie 1942, gdy w kwietniu wyciągnięto nocą 1.500 młodych — oficerów rezerwy z rocznika po 1910 r. Obiecano im, że będą traktowani, jak jeńcy wojenni, jeszcze w więzieniu pokrzepiano ich "rycerskimi" przemówieniami. Za tydzień wszyscy byli w Oświęcimiu. W pierwszych dniach czerwca w jednym dniu runęło na miasto 800 zawiadomień o śmierci. W małym mieście 800 nekrologów z tym samym zdaniem: "zmarł dn. 3 czerwca," bez podania miejsca /tego nie wolno/ — to starczy, żeby zamarał każdy uśmiech, żeby przycichł normalny gwar i zacięły się zęby w nienawiści.

Tej samej wiosny stanęły szubienice na dworcu w Płaszowie i Woli Justowskiej. W Płaszowie 9. w Woli 12 kolejarzy i ludzi przypadkowo złapanych zawisło, by "przestrzec przed sabotażami kolejowymi." Trupów nie zdejmowano kilka dni, elita niemiecka, oficerowie i panienki z nad Sprewy jeździli z aparatami fotograficznymi podziwiać spektakl. Od tych szubienic na miasto wiało grozą i najzarliwszym pragnieniem zemsty.

Tej samej wiosny rozpoczęła się największa łapanka na roboty, wywołkami ze szkół uderzono w najczulszy punkt, w nadzieję — w dzieci. Były domy, z których zabrano trzech synów, domy, z których wzięto pięć córek.

I ta wiosna nie była najgorsza, przyszła po niej jeszcze zima i wiosna 1943.

Wydaje się, że wszyscy są u kresu sił, tymczasem wytrzymują dalej. Ludzi mających nadzieje nie złamie nikt i nic. Ludzie stabi czy silni, bojaźliwi czy odważni żyją nadzieją, która jest wiarą niezłomną: wiarą w Polskę, wiarą w Polskie Jutro.

MARIA BRZESKA

Plynie codzienne życie w Warszawie, Krakowie czy Lwowie. Pozostała, mimo wszystko, zewnętrzna mozaika faktów: ktoś się żeni, rodzą się dzieci, praca, wypoczynek, troska o chleb wypelnia dzień powszedni. Zmieniła się jednak najgłębsza, zasadnicza treść ludzkiego bytowania i zaciążyła jedyna w swoim rodzaju, trudna do zrozumienia atmosfera życia w Polsce pod okupacją niemiecką. Cokolwiek myśli się, czy mówi, będzie niepełne, powierzchowne, nawet fałszowane, jeśli się choć na chwilę zapomni o tym współczynniku życia kraju.

Na tę atmosferę, którą trudniej może zrozumieć, łatwiej ją wyczuć, składa się kilka zasadniczych czynników. Z jednej strony działa bezustanny, konsekwentny, bezlitosny ucisk wrogiego terroru, z drugiej stłumienia życia, unikanie uwewnętrzniania uczuć, a zwłaszcza dokonania pracy ze względów konspiracyjnych. Bujny prąd życia politycznego, publicystycznego, kulturalnego plynie pod ziemią, skryty umownym, świętym milczeniem, najgorętsze porывы patriotyzmu muszą być z natury rzeczy ukryte. Ta tajemnica przestrzegana i szanowana przez "ludzi podziemnych" tak samo, jak przez całe społeczeństwo, nakłada charakterystyczny tłumiak, cieniuje szarością i powszednością, to co jest na zewnątrz.

Bardzo ciężkie warunki materialne zmuszają ludzi do pracy zarobkowej zawsze ponad siły. Niemieckie biura rozpoczynają pracę o 7.30 kończą o 18-ej, wynagrodzenia wahają się w granicach przedwojennych i nie wystarczają na pokrycie minimalnych potrzeb. Trzeba więc szukać innych źródeł zarobkowania i to w godzinach przeznaczonych na wypoczynek. Ciągłe przemęczenie, wyczerpanie sił fizycznych, bo i odżywianie jest bardzo niewystarczające, utrudnia jeszcze przelamywanie wszechobecnego przygnębienia.

Wszystko jednak najcięższe nawet wyrzeczenie materialne łatwiej znieść, łatwiej pokonać i przezwyciężyć, niż przywyknąć do ciężaru bezustannego strachu przed czymś najgorszym, niewiadomym, a w każdej chwili oczekiwanym. Każda przespana w domu spokojna noc jest osiągnięciem. Każdy przepchnięty bez przygód dzień — małą, lecz ważną wygraną. Strach towarzyszy bezustannie życiu w Kraju, nic bez strachu. Lecz właśnie pomimo obawy wykonuje się najbardziej zachwale i odważne przedsięwzięcia. Mimo bezustannego lęku społeczeństwo

zachowuje spokój, godność i nieugiętą postawę wobec okupanta. Ale to nie jest naturalne, to jest stały świadomy wysiłek, nieustanne napięcie woli.

W okresach łapanek każde wyjście na ulicę może być ostatnim. Wychodząc rankiem do pracy rodziny żegnają się niepewne, czy się znowu zobaczą, witają się wieczorami z uczuciem ulgi. Każde spóźnienie wywołuje trwogę, nieraz rozpacz. To też tak w życiu codziennym, jak w robocie konspiracyjnej punktualność jest pierwszym najskrupulatniej przestrzegany obowiązkiem.

Przejsście do miejsca pracy jest w czasach łapanek trudnym, niebezpiecznym zadaniem. Zachowuje się tysiące ostrożności, omija ruchliwsze ulice i place, nieraz mocno nakłada drogi. Wszystko to jednak nie ma większego znaczenia — życie ludzkie zupełnie straciło wartość, wszystko prawie zależy od szczęścia i przypadku.

Punkt niebezpieczny może być w najruchliwszym centrum: w Warszawie na Marszałkowskiej. Zwłaszcza skrzyżowanie z Al. Ujazdowskimi często należy ominąć. Specjalnie nieszczęśliwą sławę ma Plac Napoleona, ale i odległa Zabłowska na Pradze była już terenem "polowania na ludzi." Łapia na Chmielnej i Żelaznej, rabują na Kercelaku.

W Krakowie, aby się dostać z Wolskiej na Długą, zawsze sypko pierw chwila zastanowienia: — "Czy też na plantach spokój?" — "Czy przejdzie się przez Rynek? Czy lepiej przez Plac Szczepański?" Wielokrotnie też prosilo się w biurze o informację telefoniczną i dopiero upewniony się, że

Pod Protektorem STOWARZYSZENIA PRZYJACIÓŁ MUZEUM POLSKICH SIŁ ZBROJNYCH

SUBSKRYPCJA

na ALBUM:

POLISH ARMED FORCES THROUGH THE AGES

POLSKIE SIŁY ZBROJNE W CIĄGU WIEKÓW

Wymiary albumu 12 x 15 cali
Album zawiera 30 tablic wielokolorowych
Teksty w językach polskim i angielskim
Przedmowa Gen. Dym. M. Kukiela
Tablice kolorowe K. Pacewicz, Opracowanie historyczne: Dr. W. Dziewanowski i A. Minkiewicz

Album ukaze się w polowie lutego

Nakładem "ORBIS" POLISH TRAVEL OFFICE, LTD., 61, St. James's Street, London, S.W.1.
przy poparciu
MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ i MINISTERSTWA INFORMACJI i DOKUMENTACJI

CENA ALBUMU w SUBSKRYPCJI 25 sh., w SPRZEDAŻY 30 sh. (lub drożej)

Prospekty i formularze subskrypcyjne wysyła firma "Orbis" na żądanie. Są one do otrzymania również u członków Stow. Przyj. Muzeum P.S.Z. oraz w kawiarniach i sklepach żołnierskich.

ZAMKNIĘCIE SUBSKRYPCJI — 15 LUTEGO 1944 r.



Okladka /plотно/

NASTROJE PRZED WYPRAWĄ

"Krakowiak" ładował amunicję. Ciężkie buty marynarskie stukwały po pokładzie, winda skrzykiwała, artylerzyści pokrzykiwali i wielopiętrowe przekleństwa leciały w spokojne, nieco zamglone powietrze. Stojący obok kontrtorpedowiec angielski wdzierał się smukłą sylwetką i srebrno-zielonym kamuflażem. Długie lufy dział rysowały się ostro na tle pogodnego przedwiecznego nieba.

Szykowała się wyprawa. Ktoś tam gdzieś wywahał, że silnie eskortowany konwój niemiecki przemyka się nocami wzdłuż wybrzeży francuskich i z Admiralicji przyszedł rozkaz: "Zaatakować i zniszczyć."

Dwie rozpędzone motorówki prują właśnie z hukiem senną tafel wody. To dowódcy jechali na ląd — na odprawę.

Owinęte lekką mgłą drzewa miały rozłożone nad głęboką zatoką. Złoty pas zachodniego nieba podkładał spienione sylwetki dachów i czarna, delikatna koronka drzew. Nad wszystkim wyciągnęła się długa, różowa chmura, wyżej niebo przechodziło w głęboki, ciemnofioletowy błękit.

Stałem na pokładzie i patrzyłem w grę barw. Obok kosmata ciapcia, kundel okrętowy, wyciągała czarny, wilgotny nos w stronę lądu i nastawiała kłapciaste uszy na dalekie odgłosy miasta. W powietrzu skrzęczały kłótliwie mewy, a po ciemno-zielonej wodzie płynęły szeregiem łabędzie, różowe w tym słońcu.

—Trzymają szyk torowy, jak najlepsza flotyła na manewrach — powiedział z uznaniem bosman okrętowy. — Głupie bydlę niby, taki łabędź, a na nawigacji i sterowaniu lepiej się wznaje, niż niektóre inteligencja okrętowa. . .

Ale "inteligencja" w osobie podoficera nawigacyjnego, wzruszyła tylko ramionami na zaczepkę i odeszła z godnością ku sterówce, taszcząc pod pachą potężny plik map.

Długie, wąskie pasmo chmur zrobiło się z różowego żywo-czerwone, zakrzyżowało gorącym, pomarańczowym odbłaskiem i powoli poczęło przelewać się w purpurę.

—Zupełnie jak w Polsce, w pogodnie, wiosenne zmierzchu. . . — pomyślałem. Zapachniały eterem i jodoforem wspomnienia ze starego szpitala, w którym byłem przed wojną asystentem, zaklęły oczy na myśl o złotym, ostrym blasku beczeniowych lamp operacyjnych i nagle ścisnęło się gardło przypomnieniem czyjejs tam niebieskiej sukienki i jakichś tam brązowych oczu.

—Sentymenty, psiakrew. . . — pomyślałem ze złością.

Potrącił mnie przebiegając, oficer łącznikowy, otarł spoconą łysinę, wybelkotał: "Sorry, doc!" i począł komenderować grupką angielskich sygnalistów, dzwigających małe, ciężkie paczuski, obszyte w białe płótno.

—Odsyła na ląd tajne papiery i szyfry — powiedział bosman okrętowy. — Może być ciepło. . .

W MESSIE WIEDZA WSZYSTKO

Zeszedłem do messy. Po drodze w ciemnym, wąskim korytarzu wlałem na maszynistę. Marynarz wyszczerzył w uśmiechu białe zęby.

—Coś się mnie faktycznie wydaje, że znowu dziś na francuskie wino pojedziem — powiedział i nurknął w wąski wąż kłówni.

W messie pierwszy artylerzysta i oficer sygnalowy ślęczeli nad atlasem. Artylerzysta dziobał chudym palcem w mapę.

—Mówię ci, Ptaszek, tu trzeba uważać. O, tu, w tym miejscu mają te swoje cholerne pukawki. I zdrowo strzelają, mówię ci, Ptaszek. . .

—Pamiętam, ostatnim razem. . . — powiedział sygnalowy, wyciągając szyję. — Jak mi czasem za gorąco, to sobie o tym myślę dla ochłody. Brr! . . . cud Boski, że nas wtedy nie przyuwałyli. . . Widziałem ten słup wody obok burty? Fontanna w Saskim Ogrodzie, to frajer. Jak nam kiedy taki kuferek zleci na pokład. . .

—Nie kracz, Ptaszek — wtrącił się nawigacyjny. — Nie można odstawić kruka, kiedy się wygłada, jak szczygiel bez ogona. —Nie, kłócić się, młodzieży — powiedział, wchodząc, dowódca. — Odkotwiczamy za pół godziny.

"Lekkie siły"

"Krakowiak" jest dowódcą zespołu. Nawigacyjny, czy przygotował pan mapy?

—Gotowe, panie kapitanie. Podano herbatę. Wkrótce potem dzwonił alarmu manewrowego i ujadanie Ciapci oznajmiły światu, że odkotwiczamy. Okręt rozpułsował się i rozedrgał od rytmicznych obrotów śrub. Rozśpiewały się głuchym pomrukiem maszyny, warknęły wentylatory i zastękały pompy.

"KRAKOWIAK" PODCHODZI DO CELU

"Krakowiak" wyszedł z portu, położył się na kurs i nabierał szybkości, prując granatową wodę i pozostawiając za sobą długą, spienioną brudę. Kontrtorpedowiec angielski, różowy od ostatnich blasków zachodu, orał tę brudę ponownie, odwalając smukłym dziobem wysokie, białe skiby wodne. Szliśmy w szuku torowym.

Za nami gasły ostatnie blaski dnia, przed nami leżały daleko za widnokregiem bardzo jeszcze odległe wybrzeża Francji. Na ciemniejszym szybko niebie poczynały migotać blade iskierki gwiazd. Robiło się chłodno.

W ambulansie "starszy doktor" — podoficer sanitarny rozkładał na sterylizowanej serwecie, błyszczące jadowicie w świetle mocnej lampy narzędzia chirurgiczne. Bulgotała gotująca się woda w małym sterylizatorze i bielili się serwetki gazowe w świecących, niklowych puszkach.

—Narzędzia wygotowane, panie poruczniku. Strzykawkę się gotują. Apteczki na dziobie i na rufie sprawdziłem. Torby sanitarne przy działach, w maszyni i na pomoście także. Pomacamy chyba dzisiaj Szwabów. Niech dranie spróbują, jak smakuje słona woda. — Aż mi się niebieskie oczy roześmiały do tej myśli.

—Może się nam uda. A teraz trzeba się trochę przespać, bo od dwunastej idziemy w alarmie bojowym i o spaniu nie będzie mowy aż do rana.

Ale spać było dość trudno. Okręt, idąc pełną szybkością, kołysał się i podskakiwał. Krótka fala kanałowa waliła o rozpadziony dziób i burty z mokrym, głośnym traskiem. Poplakało cienkim, żalostliwym szlochem radio i od czasu do czasu jakaś zwirowana pompa charczała, jak konający suchotnik. Przewalałem się z boku na bok w takt kołysań okrętu, uderzając od czasu do czasu łokciem, głową, lub kolaniem raz o ścianę, drugi raz o osłonę koi. Leżący na dolnym postaniu oficer-mechanik wzdychał przeraźliwie, przeklinając z cicha przy większych przechyłach.

—Djabli nadali te huśtawkę — mrucał — Teraz fala spać nie daje, a potem Szwabowie nie pozwolą. Chyba dopiero w grobie wyciągnę się uczciwie. Jeszcze w dodatku ta cholerna pompa. . .

Pompa chrapała rzeczywiście, jak Siedmiu Braci Śpiących, porykując od czasu do czasu, dla odmiany, głosem cienkim, żalostnym, a zgrzytliwym. Zakrzętała się wreszcie, zakaszlała, parsknęła parę razy i ucichła.

—Wieczne odpoczywanie raczej dać Panie — stęknął inżynier.

W ALARMIE BOJOWYM

Zasnęłem. Wydawało mi się, że spałem zaledwie kilka minut, gdy natrętny wrzask dzwonek alarmowych zerwał mnie na nogi. Wchodziliśmy w strefę niebezpieczną i dzwoniło na alarm bojowy. Marynarze biegli na stanowiska, przacierając zaspane oczy i potracając się wzajemnie w ciemnościach. Pokłady dudniły od ich szybkich kroków. Gdzieś na pomieszczeniu skowyczała płaczliwie Ciapcia, której jakiś niedolega nadepnął na ogon.

Nalozylem pas ratunkowy i

zeszedłem do ambulansu. "Starszy doktor" poszedł z oddziałem ratunkowym na miejsce swego przydziału bojowego na rufę. Cichutko podzwaniały w takt wibracji okrętu nikłowe klezyczki, szczytce i lancety, o czymś gwarzyły szklanym brzękiem strzykawkę w szklanej misce. Czas płynął wolno, fale chlupotały o burty rytmicznie. Wiatr cichnął. Przechylił łagodniały. Okręt powoli zmniejszał szybkość.

Wyszedłem na pomost. Dowódca stał na podwyższeniu przy tubach przekąźniczych, z lornetką przy oczach. Za nim czerniła się na tle granatowego nieba kopuła dalecełownika, rozkrzyżowująca ramiona dalmierza, a wyżej cienki olówek masztu rysował zawiłe spirale po usiane gwiazdami Mlecznej Drozdy. Jeden z sygnalistów nadawał coś do towarzyszącego nam kontrtorpedowca, klekocąc sucho spustem zaciemnionej lampy ręcznej. Anglik odmrukiwał potakująco małym, niebieskim światelkiem. Osiem par oczu śledziło przez lornetki ciemny widokrak.

"Kum" wygramolił się spod zasłon, okrywających stół nawigacyjny i stanął obok mnie.

—Jesteśmy jakies cztery mile od brzegu. Widać wyraźnie światła nawigacyjne. Określiłem się według nich i mam pozycyjkę, jak marzenie. Dokładność do jednego yarda gwarantowana. Lada chwila możemy spotkać Niemiaszków.

—Obserwować dokładnie horyzont! — rzekł dowódca.

—Działa, obserwować! — powtórzył w przekąźniki siedzący w dziupli dalecełownika pierwszy artylerzysta.

Zaległa cisza. Oczy obserwatorów wyteżały się, usiłując przebić mrok.

SPOTKANIE

Wróciłem do ambulansu. Po dawnemu błyszczący na stole narzędzia i gwarzyły strzykawkę cichym, szklanym brzękiem. Czas płynął wolno, minuty wlokły się, jak godziny. Oczy kleiły się do snu, ale pod przymkniętymi powiekami przesuwały się dziwaczne, do niczego nie podobne koszmory.

—Spotkamy, czy nie spotkamy? . . . — powracało wciąż natrętne pytanie.

Przypomniały się, nie wiadomo czemu, komunikaty radiowe o poprzednich naszych spotkaniach: "Lekkie jednostki brytyjskie atakowały noy ubiegłej konwój nieprzyjacielski w pobliżu wybrzeży francuskich. Zatopiono jeden transportowiec i prawdopodobnie zatopiono dwa okręty eskortujące." Biedny "Krakowiak" wciąż jeszcze figuruje w komunikatach, jako bezimienna "lekka siła brytyjska." A miło było by usłyszeć w radio imię ukochanego okrętu. . .

"Admiralicja z zalem donosi, że kontrtorpedowiec. . ." — nie miły dreszcz przeszedł po krzyżach. Zapaliłem papierosa. Na stole pincety i klezyczki hemostatyczne wciąż brzęczały cichutko w takt wibracji okrętu. Nagle strzykawkę rozdzwoniły się głośnie, drgania okrętu wzmogły się i przechylł rzucił mnie niemal na ścianę. Okręt zmienił kurs, zwiększając równocześnie szybkość.

—Spotkaliśmy. . . — pomyślałem, poprawiając mimowoli pas ratunkowy.

Jęknęły buczki "Pal" i rozpełtało się piekło. "Krakowiak" rozdygotał się cały od wstrząsów salw artylerystycznych "Bah, bah, babah!!!" — ryknęły działa. Po chwili przyłączyło się do koncertu ujadanie pom-pomu i zaniosły się wściekłym terkotem armatki maszynowe. Okręt stękał, jęczał, trzeszczał i zgrzytał w więzaniach i walił ze wszystkich luf, a stalowe pudło kadłuba rozbrzmiewało ogłuszają

jącym hukiem, niby potworny rezonator. Angielski kontrtorpedowiec wtórował już dalekim basem artylerystycznej kanonady. Pluskała o burty darta stalowa masa woda.

Wyszedłem na korytarz. Na pomieszczeniu dziobowym partia zoopatrzenia pracowała ciężko, podając amunicję. Marynarze zwijali się, jak w ukropie, wśród przeraźliwego zgłębku i huku, śmigając niemal w powietrzu ciężkimi pociskami.

Przeszedłem przez wąski korytarz na pokład śródokrećcia. Wyssoko na niebie paliły się, opadając wolno, dwie żółte gwiazdy pocisków oświetlających. W ich blasku majaczyło niewyraźnie kilka czarnych sylwetek. Leciały od nich ku nam roje zielonych i różowych pocisków smugowych, gwizdząc i szumiąc. O jakieś sto metrów za burta wykwitwały co chwila białe słupy wody. Zastępca dowódcy okrętu stał pod kominem w hełmie zsuniętym na tył głowy i rękoma w kieszeniach.

—Ładny widoczek, doktorze? Zdaje się, żeśmy pomacali tego dużego karalucha ot, tu na wprost przed nami. . . Ale niech pan wraca na swoje miejsce.

—Tak jest, panie kapitanie.

POZAR NA DZIOBIE!

Działo rufowe zygnęło znów podwójnym językiem ognia. Rój grubych, złotych ós wyleciał z pom-pomu i poszybował w czarną przestrzeń. Powietrze zatrzęsało się od huku. Tuż przed burta wykwitł biały słup wody. Odlamki zabębniły po burtach i kominie, jak rozsypyany groch.

W korytarzu kłębili się biali gryzący dym. Ktoś wołał:

—Pozar na dziobie! ! ! !

Dym począł wsączać się białymi smugami do pomieszczenia dziobowego. Partia zoopatrzenia przerwała na chwilę pracę i marynarze spojrzeli po sobie niepewnie. Mat A., kierownik partii, powiedział spokojnie: —Na co czekacie, jeden z drugim? Pocisk nie szczur, sam po rynnice do góry zaiwaniać nie potrafi. Jazda!

Zaskrzypiała winda i praca zawrzała na nowo, choć chłopcy pokaszliwali trochę w dymie. Okręt walił z dział bez przerwy. Zastępca i bosman okrętowy przebiegli korytarzem, wlokąc wąż przeciwpożarowy. Woda popłynęła strugami po żelaznej podłodze. Dym rzedniał. —Trafił dranie w rozgłośnie i zaczęła się palić — objaśniał mi w chwilę potem bosman okrętowy, ocierając spocone czoło. —Już ugaszone! — dodał i nagle padł mi w objęcia, rzucony nagłym przechylem okrętu. —Zawracamy. Pomacamy znowu draniów — zawołał i pobiegł na śródokrećcie.

"GDZIE RABIA . . ."

Zagrzmiała ponownie artyleria. Zawtórowały pom-pomy i Oerlikony. Okręt trząsał się od ciągłego huku. W stalowym pudle okrętu wibrował wciąż potworny, nieustanny huk.

Nagle rzuciło coś okrętem, światła przygasły na chwilę i kontrtorpedowiec kolebnał się w gwałtownym przechyle. Jakiś głos wołał:

—Woda w pomieszczeniu podoficerskim na rufie.

Dudniły po pokładzie ciężkie buty. Oddział ratunkowy biegł na zagrożone miejsce.

—Doktorze! — wołał zastępca — Ranni przy działach dwa. . .

Wybiegłem na pokład. Kilka zielonych pocisków smugowych bzyknęło nad anteną. Natknąłem się na czterech ludzi dzwigających jakiś ciemny kształt.

—Kto to? — spytałem.

—Marynarz P. z działach dwa. Zdaje się, że dostał po głowie.

—Kto jeszcze ranny?

—Tylko pan bosman, działonowy. Dostał w rękę na samym

początku, ale nie chciał odejść od dział. Teraz dostał drugi raz i od razu upadł. Już go ponieśli na Izbę Chorych.

Znów zapłakały buczki artylerystyczne i huknęły działa. Idący za nami Anglik rozblyskiwał co chwila ognikami wystrzałów. Pociski nieprzyjacielskie przelatywały nad okrętem.

Obejrzałem w ambulansie obu rannych. Bosmat S. miał kawalek żelaza w ramieniu i złamany odlamkiem nos. Był bardzo bladej, ale się uśmiechał.

—Nos, to głupstwo, panie doktorze — mówił. — Kiedy dostałem drugi raz, to mi od razu krew zalała oczy i myślałem, że mi ślepią diabli wzięli. Zmartwiłem się strasznie i już chciałem za burte wyskoczyć, ale mnie zemdlilo.

—Ale — wtrącił się do rozmowy "starszy doktor," rozrzucając sobie ręce szcztoką i mydłem — ślipków ci prawie pod tuszczu nie widać, to i nie trafił. Ciesz się, że ci tej twojej śpiżarni nie przestrelili — i popatrz! znacząco na brzuch działonowego.

Rany marynarza P. przedstawiały się groźniej. Korkowy pas ratunkowy wstrzymał prawdziwie kilkanaście odlamków i tylko kilka z nich przecięło skórę grzbietu i wlało w mięśnie, ale chłopiec nie miał hełmu i rany na głowie wyglądały dość poważnie. Wymyłem ręce i zabraliśmy się do roboty.

Tymczasem kanonada powoli ucichła. Walka była skończona. Odczodziłiśmy pełną szybkością ku wybrzeżom angielskim.

Toaletę rany jest to względnie prosty zabieg, ale wykonanie go na kołyszącym się okręcie następcza trochę trudności i zabiera sporo czasu. To też, ledwie skończyłem nakładanie opatrunków, dowódca wpadł na mnie z niecierpliwością.

—No i jakże ranni, doktorze?—

Rozjaśnił się na wiadomość, że życiu żadnego z nich nie grozi bezpośrednio niebezpieczeństwo, ale, gdy mu opowiedziałem o moich obawach co do możliwości poważniejszego uszkodzenia kości czaszki u marynarza P., zmęczona twarz znowu ściągnęła mu się troską.

—O dziewiątej rano będziemy w porcie — powiedział — Zaraz proszę zamówić karetkę i odesłać ich do szpitala. A teraz chodźmy na herbatę.

A CO O TYM MÓWIĄ INNI

W messie kołysały się leniwie lampy, siejąc łagodne, żółtawe blaski. Ciemne oblicze Matki Boskiej Częstochowskiej patrzyło smutno z jasnych ramek, na których marynarz-artysta wyrzeźbił prostą inwokację: "Królowo Korony Polskiej, prowadź ten okręt ku Ojczyźnie i chwale." Uśmiechały się zalotnie spod portretu pana Prezydenta dwie laleczki w krakowskich strojach, maskotki okrętowe. Cudownie smakowała mocna, gorąca herbata.

Wstawał mglisty, zimny poranek, gdy "Krakowiak" przybił do mola. Komin i nadbudówki były zsiakane odlamkami, a w burcie, tuż nad linią wodną czerniła się wielka dziura.

—Trochę niżej — powiedział inżynier—a trudno było by wrócić. . .

Na brzegu czekała już karetka. Odesłałem rannych do szpitala i poszedłem spać. Wstałem dopiero na podwieczorek. Wieczorem siedzieliśmy z Kumem w barze. W głośniku skrzyjał głos speakera: "Early this morning our light forces attacked an enemy convoy off the French coast. . ."

—No Kumie, napijmy się pod te lekkie siły — zaproponowałem. Wypił, ale skrzywił się z niesmakiem.

—Lekkie siły. . . Cóż za idiotyczna nazwa. . .

Nazajutrz wyszliśmy w morze z konwojem. Siedzieliśmy właśnie przy podwieczorku, gdy marynarz messowy nastawił radio. Londyn nadawał Polski Dziennik Radiowy: "Lekkie siły brytyjskie atakowały wczoraj, we wczesnych godzinach rannych konwój nieprzyjacielski w pobliżu wybrzeży Francji. . ." —mówił speaker.

—Cholera — powiedział Kum ze złością. Rozlał herbatę na obrus. . .

—Wiadomo, nieokrzesany kmiotek — warknął Ptaszek, który jest oficerem messowym.

Każdy żołnierz Polskich Sił Zbrojnych w Wielkiej Brytanii jedną książkę—dla żołnierzy Armii Polskiej na Wschodzie

Dotychczasowa suma zbiórki wynosi 3299 książek

Ludzie z okrętów

Nadszedł list. List od podoficera Polskiej Marynarki Wojennej, Bosmanmata... Oczywiście, większość Czytelników nie wie co to znaczy, więc wytłumaczmy: to stopień w Marynarce odpowiadający plutonowemu w Wojsku. Oto dosłownie co bosmanmat X. pisze:

"W numerze "Polski Walczący," poświęconym 25-leciu Marynarki Wojennej, znalazł się rysunek Topolskiego: "Marynarz polski."

Topolski jest znanym artystą. I redakcja chciała zrobić przyjemność nam — marynarzom. Niestety — wyszło na odwrot. Ten rozchlastany, niedbale rozwalony marynarz tak jest podobny do przeciętnego marynarza polskiego, jak karp do wiatraka. Mógł go sobie pan Topolski takim w swej wyobraźni widzieć. Może to zresztą jakaś "nowa szkoła," której my, marynarze, nie znający się na sztuce, ocenić nie potrafimy. Że jednak myśli piękna i rzeczywistości nie jest nam obcy, tedy protestujemy przeciwko takiemu "portretowaniu" nas. Nie chcemy by nas upiększano, jak u malomiasteczkowego fotografa, ale nie chcemy, aby czyniono z nas dziwolągi do flonder podobne...

Dziwolągi czynią z nas nie tylko malarze. W prasie, literaturze, radio coraz to słyszymy coś, co czasem nas oburza, czasem napawa śmiechem. Miał rację ten marynarz z "Sokola," co pisał do "Polski Walczący," że nie chce aby jego syn, naczelnik naszej "marynistyki," pytał: — "A tatuś czy też — tak ciągle chodził pijany?"

To wszystko nie jest może takie ważne. Ale czy naprawdę po 25-ciu latach istnienia polskiej Marynarki, nie stać ludzi piszących czy rysujących na właściwe pojęcie o polskim marynarzu?"

Tyle nasz korespondent. Trudno nie przyznać mu pewnej słuszności. Możliwe, że na sztuce zna się niewiele. Ale bodaj mniej jeszcze ludzi zna się w Polsce "na Marynarce." I dlatego od czasu do czasu trzeba przypominać co to są prawdziwi marynarze. Nie ci "z kolczykiem w uchu," z "dziewczyną w każdym porcie," z "nożem na biodrze"; nie ci klnący najobrzydliwymi słowami, nie ci leżący w rynsztokach pod knajpami portowymi, nie ci wypijający "morze alkoholu"; jednym słowem nie ci z literatury, ale ci prawdziwi — z okrętów.

Oto kilka typów autentycznych, wprost z życia wziętych, bynajmniej nie powybieranych na pokaz. Oczywiście nie mogliśmy podać wielu, bo i cały numer "Polski Walczący" by nie wystarczył. Niechże Czytelnicy mają świadomość rzeczywistości z tych przykładów, bynajmniej nie wyjątkowych:

1/ Marynarz. Lat 19. Służy od roku. Specjalność: podsluchowiec. Wybitny podsluchowiec. Ojciec był pedagogiem w Lwowskim. Całą rodzinę wywieziono do Kazachstanu, rozdzielono. Pracował ciężko na kolchozie. Traktor złamał mu nogę. Dotarł do Wojska Polskiego. Rzucił podchorążówkę, by dostać się do Marynarki. Przepłynął naokoło Afryki. Osiągnął szczyt marzeń — dostał się na kontrtorpedowiec. Kontrtorpedowiec zatonął, trafiony torpedą. Chłopiec był w lodowatej wodzie półtorę godzinę. Rannego w rękę i poparzonego wyciągnęli Anglicy. Pierwsze słowa do brata, który go odwiedził w szpitalu, były: — "Ręka głupstwo, zagoi się ale nie mam okrętu, nie mam na czym pływać..."

2/ Marynarz. Lat 20. Rolnik. Kucharz okrętowy. Ciężko ranny w krzyż i klatkę piersiową mówi do swego dowódcy: — "To nic. To tylko kluje trochę i dech zapiera; ale ja wyzdrowieję i będę znów na okręcie z panem komandorem..."

3/ Marynarz. Lat 19. Urodzony w Ameryce z rodziców emigrantów. Po polsku mówi słabo, ale służy wzorowo. Ginie wraz ze swoim okrętem. W papierach znaleziono wzmiankę: "W razie śmierci zawiadomić narzeczoną."

4/ Marynarz. Lat 28. Maszynista. Zły duch. Zdjęty kilkakrotnie z okrętu za złe sprawowanie. /O tak, bo na okręt nie wpuszczają byle kogo/. Póty prosił aż wyznaczono go ponownie do zakrętowania. Dowódca okrętu odmówił przyjęcia. Wówczas "zły duch" zameldował się w towarzystwie dwóch starszych marynarzy, znanych z wybitnej opinii — "Panie komandorze — oświadczył — niech mnie pan komandor nie gubi. Ja na lądzie pójdę na dno. A na okręcie poprawię się." — "Już my go będziemy pilnowali" — rzekli tamci, spoglądając na spracowane ręce. Dowódca zgodził się.

5/ Marynarz. Lat 18 1/2. Jedyny, wypieszczony syn bogatych rodziców. Rzucił szkołę dla Marynarki. Służy jako artyler-

zysta. Spi w hamaku, je z kółka, ocieka wilgocią i marznie, kiwa się już z górą rok po Atlantyku. Jak ów bohater Londona — stoi na własnych nogach.

6/ Starszy marynarz. Lat 27. Urodzony z włoskiej emigracji w Niemczech. Wrócił samorzutnie do kraju. W r. 1938 wstąpił do Marynarki. Ideowiec, pełny ofiarne go poświęcenia. Dwukrotnie ocalił okręt swój od zatopienia przez nieprzyjacielskie samoloty. Zestrzelił "Savoia 79." Za trzecim razem zginął przy swoim karabinie maszynowym. Pośmiertne "Virtuti Militari."

7/ Starszy marynarz. Lat 26. Rolnik z zawodu. Doskonały artylerzysta. Ciężko ranny w walce,

nieprzyjaciela, coraz to świeże pokolenia marynarzy.

11/ Podporucznik. Lat 24. Urodzony w Kijowie! Specjalność: broń podwodna. Pływa na okrętach szkolnych, na "Orle," na "Rodney'u" bierze udział w zatopieniu "Bismarcka." Pierwszorzędny talent literacki. Alkohol nie używa. Pracuje w służbie i poza służbą. Żeni się. W miesiąc później... ginie wraz z okrętem, na którym służył.

12/ Porucznik. Lat 45. Rezerwista. W Polsce bogaty przemysłowiec. Inżynier dyplomowany. Po klęsce 1939 roku własnym przemysłem dotarł do Paryża, zameldował się. Od tego czasu pływa — dziś jako pierwszy

okrętów, na pierwszy rzut oka niezdatny do służby oceanicznej. Dowódcy ani okrętowi nie wrócono nic dobrego. Mówiono po prostu, że któregoś dnia nity puszcza i całe to stare pudło pójdzie na dno. W istocie komandor przez dwa z górą lata brudzi tym "pudem" Atlantyk od Anglii do Ameryki i od Islandii poza Równik. Zatopił 3 niemieckie okręty podwodne, zestrzelił 2 samoloty, uratował kanonierkę amerykańską i kilka statków od niechybnej zagłady. Amerykanie nazwali jego okręt — najbardziej bojowym jaki kiedykolwiek widzieli.

15/ Dowódca okrętu. Lat 46. Niegdyś ulan Krechowicki. "Virtuti Militari." Rzucił kawalerię



Przyśięga marynarzy

mówi do działonowego, który chciał go znieść na punkt opatrunkowy: — "Nie zwracaj sobie mną głowy — strzelaj."

8/ Mat. Lat 30. Wołyniak. Był w Polsce kapitanem statku rzeczno-go. Zesłany do Rosji doświadczył co to "lagry." Mógł zostać w dobrych warunkach Bliskiego Wschodu, ale tęsknota za Marynarką nie dawała mu spokoju. Doskonały instruktor, świetny sygnalista, rozumiał, że będzie potrzebny. Opłynął Afrykę pełniąc służbę na transportowcu. W lot pojął sygnalizację angielską, choć nie znał języka. Anglicy zdumieni byli jego zdolnościami. Służy i pływa.

9/ Bosman. Lat około 35. Wzięty do niewoli w obronie Helu. Bity, poniewierany, przenoszony z obozu do obozu — ucieka trzykrotnie. W końcu przez Holandię i Francję dostaje się do Marsylii. Schwytany raz jeszcze, zostaje wysłany na Saharę do ciężkich robót. I stamtąd umie się wyrwać. Spędza miesiące w hiszpańskich i portugalskich lochach. Nic go nie potrafi zatrzymać. I po dwóch latach obozów, więzień i tułaczki przybywa do Anglii, by służyć dalej w cieniu ojczyźnej bandery.

10/ Chorąży. Lat 51. Weteran. Pływa z górą 30 lat. Wiedzą techniczną zakasowałby niejednego inżyniera. Nie pije. Jeśli Napoleon powiedział, że podoficer jest dźwignią wojska, to tacy podoficerowie są fundamentem, na którym stoi marynarka. Oni to szkolą w warunkach bojowych, w obliczu

mechanik. Zdrowie nie dopisuje, mógłby z łatwością znaleźć "spokojną pracę," tym bardziej, że świetnie zna angielski. Spróbujcie mu zaproponować, aby rzucił Marynarkę. Usłyszycie coś wesołego w odpowiedzi.

13/ Kapitan. Lat 37. Zapowiadał się świetnie. W roku 1939 zawędrował przymusowo do obozów podpolarnych. W śniegach Rosji, wśród towarzyszy straceńców, nie wątpił. Wrócił umęczony, zbolący, chory, w łachmanach, z twarzą Chrystusa - męczennika. Kilka miesięcy później pełnił już ważne funkcje na polskim kontrtorpedowcu. Kontrtorpedowiec /eskortując konwój z pomocą dla tej samej Rosji, która kapitaną wziętą/ przez 7 dni odparował ataki nieprzyjaciela: 23 naloty i 8 ataków spod wody. Kapitan, ciężko ranny, dostał się do szpitala w Murmańsku. Szpital był bombardowany dzień i noc, brakło żywności, środków opatrunkowych światła, opału. Pojawiła się gangrena. Trzeba było amputować. Cudem udało się zadość uczynić prośbom rannych polskich marynarzy i przywieźć ich z powrotem przez najeżone niebezpieczeństwami Morze Arktyczne do Anglii. Tu powtórna amputacja, po tamtej nieudanej. Po wyzdrowieniu — pierwsza wizyta na dawnym okręcie. I powrót do służby.

14/ Dowódca okrętu. Lat 37. W Polsce uważano go raczej za oficera gospodarczego. Otrzymał w Anglii jeden z najstarszych

dla morza. Zaczął od początku. Jako porucznik uczył się z podchorążymi. Dobił swego. Ukończył kursy w kraju i we Francji. Cichy, spokojny, pozornie niesmiały, nigdy nie podnosi głosu... Schwytany i zesłany do obozu w Rosji, i tu nie traci ani na chwilę zimnej krwi. Spokojem imponuje kolegom i strażnikom. Wraca, dostaje się na kontrtorpedowiec w charakterze stażysty. Kontrtorpedowiec po wielu słynnych przygodach tonie na minie pod Maltą. Komandora wyciągają Anglicy. Dostaje nowy okręt — większy, silniejszy. Dokonał na nim brawurowych czynów pod Syzylją, Salerno, Rzymem, Dubrownikiem... Jest równie cichy i spokojny, jak zawsze.

16/ Dowódca okrętu. Lat 47. Urodzony w Telszach na Litwie. Wychowanek szkół rosyjskich, nie traci nic ze swej polskości. W r. 1918 przedziera się do kraju, służy w artylerii, potem we flotyli rzecznej. "Virtuti Militari" za wypad z działem na tyły wroga. Przechodzi do floty, pływa po morzach. W przeddzień upadku Oksywi, za zgodą swego dowódcy, z czterema oficerami i dwoma marynarzami zwykłym kutrem rybackim przedostaje się poprzez blokadę niemiecką na Łotwę. Stamtąd różnymi drogami do Anglii, by walczyć dalej. Otrzymuje dowództwo wielkiego kontrtorpedowca i z nim razem idzie na dno w walce z okrętem podwodnym.

O.R.P.: "Kujawiak" na Północnym Atlantyku



O.R.P.: "Błyskawica" na Morzu Śródziemnym



Jakiż tajemniczy magnes ciągnie i jednoczy tych ludzi ze wszystkich sfer społecznych, z różnych zakątków Polski, Litwy i Rusi, z emigracji francuskiej czy amerykańskiej? Co sprawia, że stanowią oni — bez względu na stopień — jedną rodzinę marynarzy, solidarnych, koleżeńskich, ofiarnych, o wysokim poczuciu obowiązku? Dlaczego przedkładają służbę na morzu nad każdą inną?

Żyłka awanturnicza? Żądza przygód? Ciekawość poznania obcych krajów? Kobiety? Wino? Ruch?

Bujda, panowie literaci. Przygody, kobiety i egzotyczne kraje ładnie wyglądają na stronicach powieści. W rzeczywistości okręt wojenny pęta się po morzu tygodniami i miesiącami, zachodzi do portu na kilka godzin, rzadziej na kilka dni, raz do roku na kilka tygodni. Na ląd schodzą tylko wolni chwilowo od służby. Często zejścia na ląd nie ma wcale. Można pływać 6 tygodni w okół Azorów czy Korsyki, brać ropę i prowiant na morzu, i nie mieć pojęcia jak brzeg wygląda. Za to wie się dobrze, jak wyglądają niemieckie bomby, granaty i torpedy. 107 głębinowych rzucono na "Dzika" tylko w czasie pięciu kolejnych ataków.

Tak. To piękna, "przygoda" być bombardowanym na 50 metrów pod wodą przez kilka lub kilkanaście godzin. To "przygoda" topić się w lodowatym Atlantyku albo w ciepłym, ale pełnym rekinów morzu południowym. To "przygoda" naprawiać trał za burta na atlantyckiej fali albo pełnić na dwie zmiany wachty maszynowe w czasie boju i sztormu. To "przygoda" rąbać na oślizgłym pokładzie lód, albo strzelać z działa do 30 "Junkersów," atakujących zakotwiczony okręt.

Więc co?

Odpowiedź jest tylko jedna: Powołanie! Żeromski nazwał to "zew morza," Conrad — "miłość morza." Zjawisko istnieje od zarania dziejów, od wyprawy Argonautów. Powołanie czuje się często dzieckiem będąc. Czasem przychodzi dopiero w wieku dojrzałym i nie jest przez to słabsze.

Następuje szkola charakterów. Element awanturniczy odpada zaraz na początku, zawiódłszy się w swych nadziejach. Zostają uczciwi i silni, o rzetelnym powołaniu. Ksiądz, lekarz i marynarz to ludzie o takim właśnie ideowym powołaniu. Bez tej iskry wewnętrznej, z najpiękniejszych zalet ducha płynącej, nikt nie może być prawdziwym i dobrym duchownym, lekarzem czy marynarzem. Może być tylko partaczem, którego życie szybko wyrzuci poza nawias.

I jeszcze jedno: obok poziomu duchowego, ideowego, poziom kulturalny. Przed wojną nie przyjmowano do Marynarki poniżej 7 klas szkoły powszechnej. Wielu miało po kilka klas gimnazjalnych. "Podróże kształcą," otwierają szerokie horyzonty. Zawód marynarza wojennego wymaga daleko idącej wiedzy fachowej i technicznej. To też poziom był wysoki, nieraz nawet nieprzeciętnie wysoki.

Przed wojną jakiś niefortunny autor nadał przez radio audycję dla marynarzy. Zaczęła się od typowego przemówienia "do Jasiów," obfitowała w "Czarna Mańka" i "Rudą Kaśkę," a zakończyła się monologiem rzekomego marynarza, który gwałt Wiecha rozwoził się o sukcesach w dziedzinie kobiet i alkoholu, używając pięknych wyrażen w rodzaju: "w ząbek czesany," "wentalnie" i "mam życzenie." Po audycji nadszedł pod adresem autora list do Radia napisany wprawdzie gramatycznie i kulturalnie, jednak zawierający kilka tak szczyrych prawd, że odtąd autor już nigdy nie ośmielił się na powtórzenie eksperymentu.

Z tym wszystkim nie należy sądzić, że marynarze to jacyś nadludzie. Nie. Wręcz przeciwnie. To ludzie bardzo prości. To poniekąd — dziś, w dobie powszechnego zmaterializowania — ostatni Mohikanie romantyzmu. To ludzie, dla których słowa: — "Ojczyzna, Honor, obowiązek, koleżeństwo" — nie są pustymi dźwiękami. To ludzie, którzy okropnie nie lubią, gdy się im robi "gazeciarską reklamę"; natomiast chcą, aby ich rzetelne wysiłki i osiągnięcia były należycie zrozumiane. Wówczas i przyszłość Polski przedstawiać się będzie jaśniej.

Polacy w niemieckich mundurach

Niemcy cofali się na odcinku zajętych przez piechotę nowozelandzką pod El-Alamein. Za tumanem kurzu pomieszanego z dymem wycofywały się czołgi i piechota. Na jasnym tle poboju odcinały się sylwetki zabitych i rannych, rozbite czołgi i działa. Jeden tylko czołg wydawał się nietknięty. Stał nieruchomo, milcząc, wynurzając się coraz wyraźniej z kurzawy. Jeszcze chwila i z wieżyczki Mark IV wychyliła się ręka z białą chustą, a za nią postać w niemieckim mundurze.

Było ich czterech. Wszyscy Polacy ze Śląska. W czołgu został zabity Niemiec-dowódca. Nie chcieli walczyć przeciw Aliantom. Podali się przy pierwszej okazji.

Gdzieś w głębi pustyni libijskiej niemieckie oddziały wycofywały się w nieładzie pod naporem Brytyjczyków. Na pozycjach panowało zamieszanie. Dowódca baterii artylerii ponagłał działony do odsłonu. Obsługa jednego z dział składająca się z żołnierzy ze Śląska zameldowała, że ciągnik jest uszkodzony, że musi go zreperować, że działa nie opuści. Oficer niemiecki coś podejrzewał. Groził, że zastrzeli. Nie zdążył — za chwilę leżał powalony. Działo odwrócone w stronę uciekających Niemców, kładło swoje pociski w ich stronę.

Libia, Cyrenajka i Tunis. Obecnie Włochy. Setki Polaków przysłanych tu z odległego Kraju, znalazły się w alianckiej niewoli. Podawali się bardzo chętnie, unikali strzelania do wojsk brytyjskich. Korzystali z każdego zamieszania, aby nie wrócić do swoich oddziałów.

Polacy są również na froncie wschodnim. Radio moskiewskie i prasa często o nich wspominają. Tak samo jak w Afryce, nie chcą bić się za Niemców.

Polaków w armii niemieckiej jest sporo. Niektórzy obliczają ich na kilkadziesiąt lub nawet kilkaset tysięcy. Są przezornie porożnięci na różnych frontach i różnych oddziałach. Są przemieszani

z Niemcami i otoczeni strażą S.S. Kto to są ci Polacy w armii swastyki? Skąd się tam wzięli? Co myślą i czują? Prasa tajna w Kraju poświęca im wiele miejsca na łamach swych pism. Zajmuje się ich tragicznym losem, uświadamia o obowiązkach, wskazuje drogi postępowania, wreszcie poucza społeczeństwo, jak przeciwstawiać się poborowi polskiej młodzieży.

Obecność Polaków w armii niemieckiej jest wynikiem bezprawnej polityki okupanta. Jest jedną z wielu zbrodni popełnianych przez Niemców na Polakach. Wszyscy bez wyjątku Polacy, służący w armii niemieckiej, zostali do tego zmuszeni wbrew ich woli, pod groźbą surowych kar — do kary śmierci włącznie.

Pobór Polaków do armii niemieckiej zaczął się już w lecie 1940 r. Początkowo obejmował tylko ziemie "włączone" do Rzeszy, t.j. Śląsk, Wielkopolskę i Pomorze. Powołano tu Polaków wpisanych na listę narodu niemieckiego do III-ej grupy włącznie. Zabierano ich z domów w nocy, zabierano za dnia z miejsc pracy. Wywożono ich wprost do obozów ćwiczebnych w głębi Rzeszy; również tych, których udało się "zwerbować" w szeroko stosowanym systemie "łapanek." W fabrykach i urzędach po wsiach i miasteczkach, urządzano meetingi, usiłując nakłaniać do wstępowania w szeregi armii niemieckiej. Lotne komisje wojskowe kwalifikowały na miejscu. Rodzinom powołanych obiecywano poprawę bytu i t.p.

W miarę pogarszania się sytuacji wojennej werbunek sił ludzkich został rozszerzony na całą Polskę. W t.zw. Generalnym Gubernatorstwie próbowano tworzyć legion polski. Propaganda niemiecka przypuściła generalny atak na rzeź frontu anty-bolszewickiego. Wytykała Polakom, że tylko ich brak w krucjacie anty-bolszewickiej, że mord katyński odmagają się zemsty, że tylko udział wszystkich narodów może uchronić Europę, więc i Polskę, przed

zalewem ze Wschodu. Te próby niemieckie nie dały żadnego rezultatu. To też Niemcy sięgnęli do wypróbowanych metod łapanek i wysiedlań, wywołując do Rzeszy polską młodzież, aby tam wychowywać ją na niemieckich janczarów.

Oficerowie i żołnierze polscy pochodzący z ziem zachodnich, a przebywający w niewoli niemieckiej, są wcielani do armii niemieckiej. Macierzyste pułki wysyłają listy do Polaków, którzy w czasie ostatniej wojny służyli w wojsku niemieckim. Proponują im nawiązanie łączności, powrót do oddziału i t.p.

Tymi przeróżnymi sposobami usiłują Niemcy zmusić lub zachęcić do walki w Wehrmachcie, Pismo tajne poświęcone sprawom Śląska tak oto pisze w jednym ze swych numerów o poborze na Śląsku:

"Wielu jest Polaków w wojsku niemieckim. Jedni dostali się tam przez posiadanie niemieckiego dowodu osobistego, t.zw. palcówki i tych jest może najwięcej, drudzy przez wpisanie na NLN, inni przez przymusowy pobór systemem nocnych łapanek. Uczynili Niemcy wszystko i wyszkalili wszystkie drogi, jakie prowadziły do... śląskiego rekruta.

I tego rekruta w dużej mierze zdobyli. Nie była to łatwa praca. Ślązacy, zwłaszcza przy pierwszym masowym poborze z maja i czerwca 1940 r. stawiali wyraźny opór. Przy komisjach poborowych wyraźnie objawiali swoją polskość; były powszechne wypadki domagania się zmiany dowodów. Żądania jednych uwzględniano i — potem za kilka dni przyjeżdżało po nich "die schwarze Karre" /tak nazywane są na Śląsku auta Gestapo/, z drugich kpieno: — "Słuchajcie, ten oto człowiek, Ślązak, oświadcza, że jest Polakiem — chce on ratować Europę" /na komisji poborowej w Mysłowicach/.

I tak ubrani w mundury stali się żołnierzami armii niemieckiej, choć bynajmniej nie niemieckimi żołnierzami. Bowiem nie zmienili się człowieka przez włożenie nań takiego lub innego munduru. Wcielani w szeregi armii wroga całym swoim czuciem i całą wolą byli przeciw i są po tej stronie narodowych okopów. Ich "przynależność" zaś do świata wojującego germanizmu, którego symbolem jest ów "mundur z wroną,"

przejawia się na każdym kroku, w każdej dziedzinie ich wojskowego życia, w sposób dość niezwykły. Zdarzają się fakty otwartej odmowy przysięgi wojskowej przez Ślązaków, znane są fakty otwartych występów.

Polacy w armii niemieckiej tworzą odrębne grupy. Ich odrębność i wrogosć wyczuwają Niemcy na każdym kroku. Wiedzą również i to, że są to żołnierze siłą zmuszani do walki po tamtej stronie, że ci Polacy nienawidzą Hitlera i Niemców. To samo pismo, podziemne tak charakteryzuje stosunek polskich żołnierzy do Niemców:

"Nie jest bólu w tych żołnierzach, co z jednej strony otrzymują z domu listy pełne rozpaczy, że brata wzięli przez miesiąc do "lagru," że ojciec aresztowany, że kolega ze wspólnej, przed zaciągnięciem do wojska, roboty organizacyjnej został rozstrzelany za "Hochverrat," a którym z drugiej strony grozi perspektywa cięższa, niż sama śmierć, bo śmierć za tego tam autora wszystkich zbrodni, bo śmierć dla wrogiej idei z poczuciem wywołującym wprost fizyczny ból, że oto ktoś później gdzieś napisze, uwieczni te parazytują śmierć, że to było "für Führer, Volk und Vaterland."

"Zwykle na warcie prowadziło się na ten temat długie rozmowy" — powiada nasz świeży cywil, który swój mundur z pełną satysfakcją spalił w kuchennym piecu. "Myślimy Polaki, ale kto nam to potem uwiery, powie Richard."

Wielu z tych niemieckich żołnierzy należało przed pojściem do wojska do polskich tajnych organizacji.

Listy Ślązaków z wojska pisane są po polsku, i co zdumiewa, pisane z otwartością i szczerością wprost lekkomyślną. Oto poniżej list-dokument. Autor jego już nie żyje. Zginął niedawno po napisaniu tego listu pod Odessą. Był podchorążym w wojsku polskim.

"Drogi Kolego, Minęły dni i tygodnie od czasu, kiedy opuściłem to życie cywila, przyłączając się do nowego życia w armii nieprzyjaciela, wdziewając ten szary, obrzydliwy mundur niemiecki. Ty, drogi Kolego, najlepiej będziesz mnie rozumiał, jak mi to ciężko było w te szare tachmany się ubrać. Pier-

wsze dni spędziłem w Egenoste /?/, później wyładowaliśmy w Maierhofem pod Karlsbadem, gdzie zebraliśmy się wszyscy Ślązacy, którzy w polskim wojsku służyli. Jest nas tu około 50, to też tworzymy osobną klikę, śpimy razem w jednej barace. Jesteśmy wszyscy jednego ducha i jednej myśli, czasami ma się wrażenie, że to wojsko polskie. Każdy prawie godo po swojemu, to znaczy, jak nas matka Polka nauczyła.

Jak nam wiadomo, to tu długo nie zabawimy. Może 1 lub 2 tygodnie, gadając, że nas na front wysła. Na pewno ciekawie ci będzie, co porabiam i jak spędzam tu czas w wojsku. Oto dni powszednie mijają w przeszkoleniu nas na żołnierzy tu-tejszych, co im jednak bardzo ciężko idzie, bo przecież my stare wojsko. Wszyscy prawie 2 lata służyli z osobną matką, to też w... się uderzyć nie damy od podoficerów, którzy z Polakami nie mogą się równać /ciemni jak funt tabaci/. Nasz dowódca plutonu liczył około 21 lat, prawie, że jeszcze młodych, krzyczy wiele, a go ani nie słyszę.

Wieczory spędzamy przy grach w karty i krytykowaniu tej armii /tu tylko słyszysz na nich: to pierońskie strupy, żułki i t.d., przewraska, którzy w ogóle nie mogą wymówić/. Zaraz też po przyjeździe do Maierhofem otrzymaliśmy mundury wżniury, tak zwane Staniewski-wżniury, bo w nich wyglądamy jak portierzy w dawniejszym cyrku Staniewskich. W tych mundurach zwiędzamy to naprawdę piękne okolice Karlsbadu.

Na tym kończę, zasypiając najserdeczniejsze pozdrowienia Tobie, p. B. i wszystkim pozostałym kolegom... "Jakże ten mundur z wroną spalił, byleż letki niekiedy ptok, a to wim i czuję że już niezadługo obleka się ochotniczo w inny mundur — jano tych chłopców tam mi żół" — mówi inny Ślązak.

Dokumenty te rzucają dość światła na Polaków w niemieckich mundurach, na ich stosunek do armii niemieckiej. Walczą, by uratować swe życie, swoje rodziny. Pod niemieckimi mundurami biją polskie serca, przywiązane do swego kraju i narodu. Wierzą oni wraz z całym krajem, że bliska już jest chwila, gdy zrzuca mundur niemiecki, że doświadczenia z pobytu wśród Niemców użyją przeciw nim.

MICHAŁ CZECZOTT

Rozmaitości wojskowe

"MAŁE OKRETY"

W czasach gdy za nasze i... nie nasze winy słyszemy od obcych tyle gorzkich słów, dobrze jest posłuchać pochwały. Zwłaszcza, jeśli ta pochwała nie jest samochwalstwem ani autoreklamą, ale pochodzi od Anglików.

Z książki Gordon Holmana, morskiergo reportera "Evening Standard'u," p.t. "The Little Ships" /Hodder and Stoughton/ cytujemy następujący ustęp:

"Polacy znaleźli w "Coastal Forces" naturalne ujście dla swego temperamentu i dla chęci walki z wrogiem.

"Dwa polskie M.T.B. były w chwili wybuchu wojny w budowie na stoczni Isle of Wight. Te M.T.B. zostały przejęte przez Marynarkę Królewską a w zamian za to polska marynarka otrzymała nieco później trzy M.G.B., którymi rozpoczęła swą współpracę z lekimi siłami morskimi Wielkiej Brytanii.

"Najpoważniejsza akcja, w której walczyły polskie "małe okręty" miała miejsce w lecie 1942 roku. Dowódca polskiego ścigacza zasłużył sobie wówczas na tytuł "małego Nelsona." Było to pewnej nocy, gdy Anglicy zaatakowali nieprzyjaciela w kanale La Manche. Polska motorówka patrolowała na wschód od sił angielskich, gdy zobaczyła sześć niemieckich E-Boat'ów. Początkowo w patrolu brały udział dwa polskie ścigacze: S.2 i S.3, jednak S.3 miał kłopot z motorem i wrócił do portu.

"O godzinie 1-szej po północy S.2 otrzymał rozkaz powrotu do portu lub przyłączenia się do Anglików, ponieważ poważne siły nieprzyjacielskie były w pobliżu. I wówczas polski oficer zasłużył sobie na ów tytuł. Nie posłuchał rozkazu pod pretekstem, że go nie rozumiał. Wkrótce po tym zauważono E-Boat'y. Choć można było sprowadzić posiłki, polski okręt sam zaatakował nieprzyjaciela z takim impetem, że rozprószył znacznie silniejsze siły niemieckie. Niektóre E-Boaty zostały uszkodzone przez ogień bohaterstwa polskiego "małego okrętu."

"Wreszcie Niemcy zdali sobie sprawę ze swej przewagi i usiłowali otoczyć S.2. Jednak załoga

polaska walczyła z taką straszącą odwagą, że Niemcy w zamieszaniu strzelali jedni do drugich. W końcu jeden E-Boat stanął w płomieniach a dwa zostały poważnie uszkodzone. S.2 uważając, że dobrze spełnił swoje zadanie, przerwał walkę i zawrócił do bazy. Był tylko lekko uszkodzony i nie poniósł żadnych strat w ludziach. W drodze powrotnej spotkał 3 brytyjskie ścigacze spieszące mu na pomoc oraz S.3, który mimo defektu w motorze zdecydował się walczyć wraz ze swym siostrzanym okrętem.

"Podobno bardzo wysoki oficer marynarki brytyjskiej gratulując polskiemu dowódcy sukcesu, dodał oschle, że "the Nelson touch was not always guaranteed to produce such happy results." Nie tylko jednak spotkanie skończyło się wówczas szczęśliwie, ale dowódca polskiego okrętu został odznaczony brytyjskim D.S.C. i polskim "Virtuti Militari."

"Pewien angielski oficer powiedział raz do mnie o Polakach: — Walczą oni wręcz fantastycznie. Pokaż im coś niemieckiego, to tak jak pokazał głodnemu psu kość. Jednak są to najmiłsi ludzie, gdy spotkasz ich na ich własnym okręcie lub gdziekolwiek indziej."

OFENSYWA POD LENINGRADEM

Mit o niezwykłym żołnierzu niemieckim rozwiewa się powoli, ale gruntownie. Niemcy byli zawsze mistrzami autoreklam, jednak mit o ich "geniuszu wojennym" był szczególnie dobrze wypracowany. Gdy ulegli w ubiegłej wojnie lepszej strategii, taktyce i lepszemu żołnierzowi, wymyślili historię o "uderzeniu nożem w plecy." W rzeczy samej przegrali, bo "genialny" Ludendorff nie dorósł do pięć spokojnemu Fochowi. Historia się powtarza. Przereklamowani generalowie niemieccy ulegają w Rosji przeciwnikowi, którego od lat ośmieszala propaganda niemiecka. A ironia losu chce, że ulegają podobnej taktyce, jakiej ulegli w ubiegłej wojnie.

Znany jest aforyzm, że taksówkarze parcy wygrali ostatnią ofensywę francuską. Legenda twierdzi, że Foch zdezorientował Niemców, przerzucając wojska nocą przy pomocy taksówek paryskich z jednego frontu na drugi. Niemcy, którzy przygotowali obronę przeciw koncentracji wojsk sprzymierzonych, zostali zaskoczeni, gdy ofensywa całą siłą uderzyła w nich z punktu, w którym ich poprzedni rekonasans nie dojrzał żadnych przygotowań do ataku. Powtarzając podobną taktykę parokrotnie Foch przełamał front niemiecki i zmusił wroga do kapitulacji.

Ta legenda jest naturalnym grubym uproszczeniem, jednak taksówki czy nie taksówki, taktyka Focha polegała na szybkim przemieszczeniu ofensyw z jednej części frontu na drugą. Analogiczną taktykę obserwujemy obecnie na froncie rosyjskim. Rosjanie bardzo zrećnie przerzucają ofensywę z południa na północ i na odwrot. Tej taktyce należy przypisać wielki sukces ofensywy pod Leningradem, która Niemców kosztuje już dzisiaj tak wiele w ludziach, sprzęcie i prestiżu.

WOJNA GOSPODARCZA

Lord Selborne, minister wojny ekonomicznej, przemawiał niedawno w Londynie. Mówił o tym, że Niemcy w obliczu coraz groźniejszych ofensyw sprzymierzonych ponoszą ogromne straty gospodarcze zarówno na skutek blokady, jak i na skutek bombardowań. Jednak Lord Selborne nie wierzy, aby tym razem — tak jak ostatnio — załamanie mogło nastąpić bez zupełnego rozgromienia armii niemieckich. "Armia i ludność cywilna są dzisiaj niewolnikami maszyny hitlerowskiej," która nie dopuści do zbyt szybkiego złożenia broni. Podczas ubiegłej wojny, od chwili, gdy Ludendorff w sierpniu 1918 roku oświadczył swemu rządowi, że wojna jest dla Niemiec przegrana, do faktycznego zawieszenia broni zginęło od 300 do 400 tysięcy żołnierzy niemiec-

kich. "Tym razem wygląda na to, że stracą znacznie więcej ludzi w wojnie, którą w chwili obecnej już przegrali."

Jak groźna jest niemiecka sytuacja gospodarcza pokazują najlepiej próby przełamania blokady. W portach Zatoki Biskajskiej leżą okręty niemieckie pełne maszyn i prototypów samolotów, czołgów i innej broni, które czekają na sposobność przemknięcia się do Japonii, skąd spodziewają się przywieźć z powrotem gumę, cynę, tungsten, chininę, opium i armaty. W tych próbach przełamania blokady stracili Niemcy ubiegłej zimy trzy czwarte tego, co usiłowali przywieźć z Japonii. O tym jak bardzo im tych towarów potrzeba, świadczy bodaj fakt, że niedawno wysłali flotyllę złożoną z jednej trzeciej wszystkich niemieckich kontrtorpedowców, aby sprowadzić pod ich osłoną jeden okręt wiozący towary z Japonii. Zarówno ów okręt, jak trzy eskortujące go kontrtorpedowce zostały zatopione.

Ale nawet słabe państwa neutralne, które dotychczas — przeważnie pod naciskiem — zaopatrywały Niemcy w konieczne dla nich surowce i materiały, dostarczają ich coraz oporniej. Szwajcaria wydała ostatnio mniej licencji na wywóz broni do Niemiec. Szwecja zredukowała eksport wysoko-gatunkowej rudy żelaznej i żyznych kulkowych. A interwencja angielska zmniejszyła dostawy chromu z Turcji i tungstenu z Hiszpanii i Portugalii. Gdy dodamy, że 60% swego zapotrzebowania w stal manganową Niemcy czerpali z ukraińskiego Nikopolu a sporo siarki sprowadzali z Sycylii a nadto, że większość swych surowców — z ropą naftową włącznie — sprowadzała muszą z krajów będących już niemal pod ostrzałem armii sprzymierzonych — z Rumunii, z Pet-samo, z Jugosławii, z Norwegii itd., to to samo pozwala nam patrzeć optymistycznie w przyszłość.

A do tego dochodzi żniwo ofensywy powietrznej.

CZY WARTO ZDOBYWAĆ RZYM?

Alan Moorehead, najwybitniejszy talent reporterski obecnej wojny, autor omawianej na tym miejscu książki "The End in Africa," jest obecnie we Włoszech. Reportaże jego, świetne i ciekawe ukazują się w "Daily Expressie." Ostatnio p.t.: "Musimy zdobyć Rzym — ale będziemy mieli sporo zawracania głowy" omawiał kłopoty, jakie czekają sprzymierzonych po zdobyciu Rzymu:

"W Rzymie jest podobno 2,000,000 ludzi. Co z nimi zrobimy? Są oni głodni, w panicznym strachu a gdy sabotażyści niemieccy dodadzą do naszych bomb swoje demolicje — wielu z mieszkańców Rzymu znajdzie się bez dachu nad głową.

"Tłumy bezsilnych istot ludzkich bardzo będą przeszkadzały naszym żołnierzom. Zablokują drogi swymi wozami zaprzęgniętymi w konie. Nie będzie portu, przez który można będzie dowieźć im żywność.

"Niemcy na pewno zniszczą wodociągi, gazownie i elektrownie, co także nie ułatwi Sprzymierzonym zadania. Nadto należy się liczyć z minami i bombami czasowymi we wszystkich niemal budynkach publicznych Rzymu. Jednym słowem Niemcy zrobią wszystko, aby Rzym stał się przeskodą a nie pomocą.

"A jednak musimy mieć Rzym. Sam przez się Rzym nie przedstawia większej wartości. Nie jest to ani forteca, ani dobra baza wojskowa. Ale tak się złożyło, że wszystkie główne szosy i tory kolejowe na północ i na wschód przechodzą przez Rzym, a nasza zmechanizowana armia związana jest z drogami.

"A oprócz tego trzeba nam Rzymu ze względu na "moral." Zdobycie najświetniejszego miasta świata przygłębni Niemców a naszych ludzi podniesie na duchu. "Politycznie jest nam Rzym koniecznie potrzebny. Jest on sercem i głową Włoch. Alexander powiedział nam raz w kwaterze głównej, że gdy Rzym padnie, należy się spodziewać silniejszej niż dotychczas reakcji Włochów."

H. S. DOMINIK

Bez blackoutu

W tygodniu minionym w Londynie i w Edynburgu odbyły się dwie wielkie manifestacje narodowe pod hasłem: "Całość, Wolność, Niepodległość." Obydwa zebrań obywatelskie miały charakter poważny i spełniły swoje zadanie. Zadanie nietawne. Nikt z nas nie spodziewał się, że w piątym roku Drugiej Wojny Światowej trzeba będzie manifestować pod hasłem: "Całość, Wolność, Niepodległość." Nikt nie przypuszczał, że jeszcze raz w dziejach podejmować będziemy tu, na obcej ziemi obronę Lwowa i rozpoczynać nową boję o Wilno.

Całość, Wolność, Niepodległość! Przecież te słowa wplatały się w ostatnią modlitwę Polaków, którzy ginęli w kampanii wrześniowej, padali na linii Maginot, w Norwegii, w Tobruku, nie wracali z lotów, życie oddawali na morzach całego świata. Te trzy słowa to cała treść upartej, straszliwej ofiarnej walki, którą stale, codziennie toczy kraj.

Przed czym się bronimy w tej chwili? Historia nie bez dwuznacznego uśmiechu odwraca karty: najazdy Turków, Tatarów, Moskali, czasem jednych i drugich równocześnie—zawsze na Lwów, niezliczona ilość ataków odpieranych przez to miasto, stałe pogotowie bojowe, stała gotowość obrony. Przed czym? Przed Wschodem idącym na Zachód.

Na zebraniu obywatelskim w Edynburgu przypominałem zgrozonym rodakom kilka dokumentów z historii miasta Lwowa i pozwoliłem sobie je skomentować.

W roku 1659 król Jan Kazimierz za wierną, obrończą postawę grodu lwowskiego nadaje miastu zaszczytny przydomek: "Semper Fidelis." O tym, czy była nota rosyjska w tej sprawie, czy wpłynął protest dyplomatyczny, Historia nie wspomina.

W kilka lat później Turcy stanęli u bram Lwowa. Wtedy to (1671 r.) na lwowskim rynku miała miejsce scena historyczna, która niejako powtarza się dzisiaj. Burmistrz miasta Lwowa Bartłomiej Zimorowicz chcąc ocalić miasto przed zalewem Wschodu rzucił wezwanie do tysięcznych tłumów, zgromadzonych na Rynku lwowskim. Oto jego słowa, które wzmuszają dzisiaj powtarzamy: "Mości Panowie! Wróg przed Lwovem! Wróg na przedmieściach! Kto żyje do broni! Lwowa musimy bronić wszyscy. Zwyciężymy lub zginie! Mości Panowie! Kto za mną, niech przejdzie na prawą stronę Rynku; kto przeciw, niech odejdzie na lewo!"

Jak w wielu wypadkach podobnych, tak i wtedy we Lwowie—lewa strona Rynku pozostała pusta. Tłum poszedł za Zimorowiczem na mury: kupiec, batiar lwowski, krupiarz, piaskarz, rzemieślnik, uczyń, Poszli. I tak idą w historii tych ziem ciagle, wytrwale. Idą, gdy zawoła Maczynski, idą, gdy krwawą tuną pożarów rozgorzeje Wrzesień nad zawsze wiernym miastem. Idą teraz w roku 1944 i zwartą gromadą stają po prawej stronie lwowskiego Rynku, gdy Wschód zagraża tej ziemi. Po lewej stronie Rynku nie ma żadnego uczciwego Polaka w tej chwili. A jeżeli by tam stanął i myślał o rozpoczęciu handlu rynkowego i targowaniu, niech się nie ośmieli nazywać Polakiem!

Nie stoimy dziś sami po prawej

stronie Rynku lwowskiego. Stoją z nami Polacy rozszani po całym świecie. Dochodzą ich głosy ze Stanów Zjednoczonych i Ameryki Południowej; stoi z nami—wierzymy w to mocno—potęga Wielkiej Brytanii i U.S.A.

Ufamy naszym Sprzymierzeńcom. Ale musimy być czujni. Żadne próby prowokacji i skłócenia nas nie udadzą się na tym terenie. Jesteśmy na to przygotowani. Nasze zadanie na codzień to przede wszystkim stałe, wyczerpujące informowanie Brytyjczyków i Amerykanów o historii, wartości i znaczeniu Ziemi Wschodnich dla Polski.

Bardzo na czasie ukazała się wydana w języku angielskim praca dra Józefa Rudnickiego p.t. "Lwów a page of Polish History." Wydawca: Polish Research Cen-

ter, 32 Chesham Place, London, SW.1. Cena: 2 szylingi. Polecam gorąco uwadze Czytelników tę cenną broszurę, która odpowiednio rozkolportowana na tutejszym terenie doskonale może spełnić zadanie poważnego informatora. Jedna uwaga: Nie wolno zwlekać. Należy ją rozpowszechnić natychmiast.

Drugi dokument z dziejów Lwowa, który na zebraniu edynburskim przypominałem, nosi datę 1889. Jest to dokument jagielloński: "Lwów i Ziemia Lwowska nigdy żadnemu księciu ani panu oddane nie będą, ale po wieczne czasy z Koroną Królestwa Polskiego nierozdzielnie stanowić mają całość, aby pod tą opieką trwale się pokrzepiły."

Biedny król Jagiello! Ale nie jego to wina, że zapomniał dodać:

Pożyteczna broszura

Wypadki polityczne ostatnich tygodni wysunęły Polskę i sprawę polską na pierwszy plan. Zagadnienia najżywiej nas obchodzące omawiane są na czołowych szpaltach dzienników brytyjskich, w sposób często dla nas drażniący, a nierzadko wręcz nieprzychylny.

Przyczyn tego stanu rzeczy zwykliśmy doszukiwać się w tajnikach wielkiej gry politycznej, w przewadze wpływów sil, układających się na naszą niekorzyść. Nie zawsze jest to wniosek trafny. Nawet w kraju tak demokratycznym, jak Wielka Brytania prasa nie daje nam jeszcze pełnego przekroju opinii.

Niewątpliwie, z wielu nieprzychylnych dla nas wypowiedzi prasowych przebija wyraźna intencja. Nierzadko jednak głos zamieszczony przez dane pismo, czyni nam krzywdę wyłącznie dlatego, że opiera się na mylnej informacji. Wybitny komentator i pisarz polityczny Douglas Reed wypowiedział niedawno na łamach miesięcznika "Twentieth Century and After" zdanie, że może nigdy jeszcze społeczeństwo brytyjskie nie było tak dezorientowane mylnymi informacjami na temat zagadnień europejskich, jak to ma miejsce obecnie.

Spoleczeństwo brytyjskie jest wdziecznym i chłonnym rynkiem dla dobrych, ścisłych i prawdziwych informacji. Równocześnie zaś rozgrywające się w szybkim tempie wydarzenia o olbrzymiej

skali pochłaniają uwagę naszych gospodarzy, zaciemniają im nieraz fakty równie doniosłe, ale nieco bardziej odległe lub w danej chwili mniej bijące w oczy.

W chwili gdy sprawa polska ponownie zaprzęta umysły Anglosasów należy powitać z uznaniem broszurę L. G. Marsh'a na temat działalności lotnictwa polskiego.*

W lekkim, ale przykuwający uwagę sposób autor ogarnia cztery lata walk lotnictwa polskiego, podając żywe, bezpośrednie, nieraz może lakoniczne opisy wyczynów indywidualnych lotników i załóg. Nie nuży czytelnika cyframi. Nie podkreśla wniosków. Nasuwają się one same.

Temat jest wdzięczny. Można by może powiedzieć, że walki lotnictwa polskiego zasługują na szersze, bardziej dokumentarne opracowanie. Zapewne. Nie zapomnijmy jednak, że czytelnik angielski znudzony jest lekturą wojenną. Dostarczają mu jej dzienniki codzienne, dostarcza współczesna literatura i wreszcie samo życie. Obszerne dzieło jest potrzebne, w obecnej jednak chwili miało by ono mniejszy zasięg. Broszurowa pojemność "Polish Wings Over Britain", jej prostota i bezpośredniość, zapewnia szeroki zasięg tej publikacji.

"Polish Wings Over Britain," by L. G. Marsh. Maxlove Publishing Co. str. 51.

Przypomni ona naszym angielskim przyjacielom o tym, że w najcięższych dla nich chwilach nie brakło Polaków na brytyjskim niebie. Ze dzielili oni wraz z nimi najpierw niepokój a potem triumf na pustyni. Ze nie brakło ich w walce z okrętami podwodnymi na Atlantyku. Ze bombami odpowiadali Niemcom za cierpienia swego narodu. Cyfr, jak powiedzieliśmy, niewiele. Te jednak, które są podane, mają wymowę szczególną.

Należało by sobie życzyć, aby fotografie, zamieszczone w broszurze były również wymowne. Tego niestety powiedzieć się nie da. Zbyt duża jest proporcja zdjęć "oficjalnych."

Należało by sobie również życzyć, aby cena tej publikacji (3s. 6d.) była bardziej przystępna, co niezawodnie przyczyniło by się do szerszego jej rozpowszechnienia.

Handicapem jest także niewątpliwie zakaz publikacji nazwisk i miejsc, na co niestety autor nie miał wpływu. Tracą na tym z konieczności opowiadania, którym brak owego chwytliwego "personal touch."

Są to jednak drobiazgi. Broszurowa "Polish Wings Over Britain" jest dla nas wysoce pozytywnym wkładem. Da ona naszym gospodarzom najlepszą odpowiedź na niejedną zarzut czy niedopowiedzenie.

ZYGMUNT FUDAKOWSKI

WIKTOR BUDZYŃSKI

W SPRAWIE ALBUMU FOTOGRAFICZNEGO BRIGADY PODHALAŃSKIEJ

Szanowny Panie Redaktorze! W związku z uwagami p. Karola Zbyszewskiego o albumie podhalańskim "Książka późniona o trzy lata" w "Polsce Walczącej" z dnia 22.1.44 proszę o umieszczenie następującego wyjaśnienia. Zamierzam zaznaczyć p. Zbyszewskiego i ogół czytelników "Polski Walczącej" z warunkami, w jakich album powstał.

Autor recenzji podkreśla, że tego rodzaju reportaże powinny być przygotowywane przez fachowców reporterów, którzy fotografować będą we wszelkich okolicznościach, również podczas walki. Słusznie! Tak też było. Ale...

Mysł stworzenia albumu, mojego prywatnego albumu, powstała w pierwszych dniach listopada 1939 we Francji. Kierowałem tam pracą zawodowego fotoreportera i zbierałem materiały. Tam były warunki do fotografowania, do wywoływania i kopiowania zdjęć. Te warunki istniały również w okresach następnych, podczas podróży morskiej, aż do przybycia do Norwegii. W Norwegii można było tylko fotografować. Nie było warunków do wywoływania i kopiowania. Nie było również tych warunków w drodze powrotnej i w następnych, krytycznych dniach czerwca 1940 we Francji. Zdjęcia reportera z czasów norweskich pozostały niewywołane i przepadły wraz z reporterem we Francji.

Po przybyciu do W. Brytanii udało mi się odtworzyć zbiór zdjęć owego reportera z czasów od listopada 1939 do dnia 7. maja 1940. Moja praca, znana kolegom, doprowadziła do myśli powielenia zbioru do ilości około 50 egzemplarzy, aby każdy z kolegów mógł go posiadać.

Dnia 21. lipca 1940 sztandar brygady podhalańskiej został udekorowany orderem "Virtuti Militari." Ten fakt /ale nie te daty/ postanowiłem wyzyskać jako zakończenie albumu — reportażu fotograficznego historii II-go baonu podhalańskiego.

Trudności nasuwał ten historyczny najciekawszy rozdział: okres norweski. Musiałem się posługiwać

zdjęciami amatorskimi. "Żołnierz-amator fotografuje, kiedy mu się chce, kiedy nie innego nie ma do roboty, czyli przeważnie, kiedy nie się ważnego nie dzieje." Tak jest. Zdołałem jedynie ilością zdjęć podkreślić ważność tego okresu — nie ich jakością czy treścią. W rozdziale VI jest 111 zdjęć, w innych kolejno 26, 23, 22, 15, 39, 16 i 24.

Gdy zbiór był prawie na ukończeniu, podsumiłem mi myśl rozszerzenia ram albumu do reportażu historii brygady. Usunąłem drugo-baonowe "twarze" i uzupełniłem zbiór zdjęciami z innych baonów, czyli pomnożyłem ilość zdjęć amatorskich. Do uwag p. Zbyszewskiego o amatorach-fotografach dodam jeszcze kwestię o "fotogeniczności" obiektów fotografowanych. Nabożeństwa, defilady, jedzenie zupy, grupy pozujące są — "fotogeniczne." Mniej "fotogeniczny" jest moment wybuchu bomby lotniczej na kontrtorpedowcu. Zdjęcie to jest b. niewyraźne i dla tego uszło, zdaje się, uwadze recenzenta.

W kwietniu 1941 zbiór był skompletowany. Cenzura nie robiła żadnych trudności.

Teraz techniczna strona wydawnicza. Dążyłem do dobrego wydaw-

nictwa, które będzie tak tanie, że każdy żołnierz brygady będzie mógł je nabyć. Prosiłem propagandę wojskową o wydanie. Odmówili. Skierowali do propagandy cywilnej. Tu otrzymałem przyrzeczenie poparcia, ale kazali mi się umówić z prywatnym wydawcą. To też uczyniłem. Zyskała na tym zewnętrzna strona, ale też koszt książki jest wysoki.

Tymczasem gromadziły się chmury nad moją głową. Gdy w ostatnich dniach września 1940 otrzymałem depeszę, wzywającą mnie do korekty, moi przełożeni — byłem jeszcze w służbie czynnej — odmówili mi zezwolenia na wyjazd do Londynu. Zawiadomiłem wydawcę, prosząc abym mnie kims wyręczył. Odpisał, że to wpłynie na opóźnienie ukazania się książki z druku. Pierwotny termin umowy był 11. grudnia 1941.

I rzeczywiście. Dopiero 1.1.42 otrzymałem odbitkę szrotkowa. Teksty były przerobione, objaśnienia do fotografii pozmieniane, rolło się od błędów. Nie mogąc ciagle jeszcze jechać do Londynu, wysłałem wydawcy szczegółowy spis poprawek i żądań zmian w tekście. Odpisał, że moje teksty służą tylko jako materiał, a błędy postara się poprawić. W jednym tylko wypadku — nie wiem dlaczego — odmówił poprawienia błędów.

W czerwcu 1942, już zwolniony ze służby czynnej, przybyłem wreszcie do Londynu, aby się dowiedzieć, że druk jest gotowy, ale warunki wojenne utrudniają prace introligatorskie. Tym tłumaczył mi wydawca włoże w ukazaniu się książki.

Druk gotowy. A więc za późno na zmiany w tekście lub poprawki. Szkoda, wielka szkoda. Również dla wydawcy. Bo tak piękna szata powinna zawierać mniej wadliwą treść, przynajmniej w tekstach. Byłem bezsilny. Wydawca nie chciał pozwolić mi na zmiany — a były, zdaje się, jeszcze możliwości ku temu.

Wyjaśnieniami powyższymi chcę podkreślić fakt, że zdaję sobie sprawę z wad i błędów tego wydania.

R. M. Newman

Skrzynka pocztowa

Do Pana Redaktora "Polski Walczącej"

W piśmie Pańskim /nr. 3 r. 1944/ ukazał się artykuł K. Zbyszewskiego pt. "Książka późniona o trzy lata", omawiający wydawnictwo "Polish Troops in Norway" subwencjonowane przez Ministerstwo Informacji. Ponieważ artykuł nie podaje przyczyn opóźnienia, pragnę dodać kilka wyjaśnień, aby w umyśle żołnierza wyraźnie zarysowało się, jakie koła polskie ponoszą winę za tak karygodne zmarnowanie jednego z naszych atutów propagandowych.

Otóż Ministerstwo Informacji w czerwcu 1941 roku /słownie: tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku/ zamówiło w firmie Kolin wydanie tego albumu, wypłacając z góry w listopadzie tegoż roku £.700 na zakup 1000 egzemplarzy. Wydawca listownie obiecał ukończenie druku "do 15 grudnia 1941 roku." Mimo wielokrotnych ponagleń listownych i telefonicznych wydawca zwlekał z ukończeniem tego dzieła i dostarczyl je częściowo w grudniu 1943 r. i styczniu 1944 /słownie: tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku/.

Nie jest to jedyny wypadek, że

Królewickie Kapiełisko
HARROGATE — ZDRÓJ

Otwarte cały rok
Naturalne Kapiele
Mineralne.
ZRYCZALTOWANE
KOSZTY POBYTU
I LECZENIA

Reumatyzmu
Ischias, Lumbago, Nerwicy żołądka,

Dostępniejsze
poza głównym sezonem.

Prospekty i cenniki
stosownie do wymagań,
wysłał H. Roberts,
Manager, Royal Baths, Harrogate.
Prosimy powoływać się na "P.W."

"Ani żadnemu... towarzyszy... Biedny król! Książęta... panowie... Czy mógł przewidzieć, że spadną kiedyś na miasto przybysze, którzy będą od batiarów lwowskich wykupywać w Paszu Mikolascha stare stopery jako najmłodniejsze zegarki?..."

Ojcowie teatru lwowskiego Kamiński z Pawlikowskim i Hellerem na pewno przewrócili się w grobach tego pamiętnego wieczoru, gdy w pięknym, kulturalnym wnętrzu naszego Teatru Wielkiego "nowa widowiska" wystąpiła w całej krasie nocnych koszul, które uznana za toalety wieczorowe i przywdziała dla uczczenia Sztuki. Napatrzył się pewno i pan Fredro ze swego kamiennego fotela na placu Akademickim i uśmieł do syta. Szkoda, że nie mógł wstać na chwilę, umoczyć pióra w inkuscie i stworzyć nowej komedii p.t. "Gwałtu, co się dzieje?"

Dziw, że w tym czasie, po raz drugi w historii nie spotkali się w Zboiskach Ujejski z Nikorowiczem i nie napisali pod wrażeniem chwili nowej pieśni: "Z dymem pożarów." Dziw, że patrząc na przeżycia Polaków tych ziem nie wstał z Łyczkowskiej mogiły Artur Grottyer i nie podjął dalszego ciągu swej przejmującej: "Wojny." Szkoda, wielka szkoda, że panowie redaktorzy: Dobrzański, Lam, Rodoc, nie mogli w on czas stworzyć podziemnej gazetki lwowskiej.

Zabrakło takich ludzi w tych dniach Ziemi Czerwińskiej. Ale wielki kultury i sztuki Lwowa żyją; co więcej w chwili niebezpieczeństwa z podwojną mocą pokrzepiają wątpliwych, zachęcają do czynu leniwych. Jest jakaś pasja w ludziach tej ziemi. Kiedyś dawno nazwano Lwów "Tygrysem." I słusznie; musiał być taki. Z pasją tygrysa, z odwagą lwa walczył przez wieki o swoje istnienie, o polskość.

Na fali Historii wracają dzisiaj do nas słowa marszałka Focha, wypowiedziane we Lwowie w roku 1923: "W chwili, kiedy wykreślano granice Europy biedząc się nad pytaniem, jakie są granice Polski, Lwów wielkim głosem odpowiedział: Polska jest tutaj!"

Wierzę, że Ziemia Lwowska i Wileńska przyjdą w pomoc tym wszystkim, którzy biedzą się lub biedzić się będą, nad przyszłymi granicami Polski. Wierzę, że "Miastu zawsze wiernemu" i "Miastu Matki Boskiej Ostrobramskiej" starczy głosu i siły do powtórzenia tej historycznej odpowiedzi: POLSKA JEST TUTAJ!

zamówienia Ministerstwa Informacji wykonane były z opóźnieniem wielomiesięcznym lub wieloletnim, lub też wcale nie zostały wykonane, mimo wypłat lub zaliczek z góry.

Należy fakt ten zestawzić ze sprawozdaniem z procesu, jaki władze podatkowe brytyjskie wytoczyły firmie Kolin, gdzie rzekomo firma broniła się twierdzeniem: "Niestety rząd brytyjski ścięga szybko pieniądze, a rząd polski płaci powoli" /"Publisher's Circular," 10, VII, 1943/.

Wyciągnięcie wniosków pozostawiam Czytelnikom. Może to chociaż częściowo wyjaśni im to naгонki prowadzonej przeciw Ministerstwu Informacji.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku.

Antoni Wójcicki

NIE KAMIENNE ALE
KAMIENNA

Wielce Szanowny Panie Redaktorze, Wobec coraz częściej zdarzających się zniekształceń nazw miejscowości w Polsce, najuprzejmiej proszę o zamieszczenie niniejszego.

W artykule "Polska Armia Podziemia" /II/ p. Z. Nagórskiego jr. drukowanym w numerze 4-ym Jego poczytnego pisma, podano "wykolejenie transportu wojskowego na linii Kielce-Skarżysko-Kamienna," otóż komunikuję, że miejscowość ta, jak i stacja kolejowa nazywa się "Skarżysko-Kamienna."

Łączę wyrazy poważania

Kazimierz Jakubowicz

CZYTELNICZY "POLSKI
WALCZĄCEJ" DLA JEŃCÓW W
NIEMCZECH

Sekcja Pomocy Jeńcom Wojennym Stowarzyszenia Społecznej Służby Kobiet Polskich podaje do wiadomości wszystkich ofiarodawców, że z darów na "Paczki od serca" ogłoszonych w Nr. Nr. 1, 2 i 3 "Polski Walczącej" wysłano 285 paczek; 209 paczek papierosowych a 1,000 sztuk każda, 41 paczek odzieżowych /a £2/ i 35 paczek żywnościowych /a 16s/. Immienna lista tych, do których paczki wysłano jest do przejrzania dla zainteresowanych w Redakcji "Polski Walczącej."

Dla Polaków w Rosji: £10,715

Szanowny Panie Redaktorze,
 Dziękuję uprzejmie za przesłanie 3-egz. z notatką o poprzedniej wpłacie i w załączeniu przesyłam M.O. 69501 K.K. na sumę £28.15.4 zebrana podczas wystawy fotograficznej "Through Polish Eyes" w Harrogate w czasie od 31.XII.43 do 17.I.44 oraz recitalu fortepianowego Henryka Mierowskiego, który grał w Harrogate w związku z wystawą.

Pragnę nadmienić, że wystawa w Harrogate była 23-cią z rzędu i zakończyła pierwszy cykl objazdu Wysp Brytyjskich. Ogółem odwiedziło ją 111.150 osób, a na pomoc dla Polaków w Rosji zebrano £472.17.5. W prasie brytyjskiej, ukazało się 121 notatek i artykułów o wystawie, a w prasie polskiej — 11 artykułów, nie licząc notatek o wpłatach. Obecnie wystawa odsiada się i zamierza wyruszyć w odnowionej szacie w dalszą drogę — do miast Middlesbrough i w dalszym ciągu pod egidą Min. Inf. i Dok. oraz the British Council. Mam nadzieję że wpłaty będą wpływały nadal.

Łączę wyrazy szacunku i poważania

Pavel Miller

W załączeniu przesyłam M.O. na kwotę £129.3. /słownie: dwanaście funtów dziewięć szylingów i trzy pence/ z przeznaczeniem na pomoc dzieciom polskim. Pieniądze te są:

- 1/ Dochód z urzędowej zabawy sylwestrowej w świetlicy Stacji Zbornej Mar.Woj.Pl. £5. 7.7
- 2/Zebrano w formie dobro- wolnych datków na "Wie- czorne Marynarskim" w dniu 2.I.br. £4. 4.3
- 3/St. mar. Piotrowski B. zebrał wśród znajomych w czasie świątecznym £2.17.5
- razem £129.3

Klimianka Łucja, świetliczarka

Załączam £1 na pomoc Polakom w Rosji

Strumiński M.

Would you please accept from me the enclosed donation of £2 for the Relief of Poles in Russia Fund? With best wishes for the future of Poland.

Yours sincerely,

D. Mackenzie

FUNDUSZ RATOWANIA DZIECI
 Do Redakcji "Polski Walczącej" Przesyłam "Postal Order" na £1.3.0 na "Fundusz Ratowania Dzieci w Polsce" od dzieci szkoły powszechnej.

Kierowniczka Szkoły Powszechnej A. Łaska

Przesyłam 10.sh. na pomoc dzieciom polskim w Rosji.

Górski J.

Łączną sumę zbiorów w dzisiejszym numerze £45.17.7 /słownie: czterdzieści pięć funtów, siedemnaście szylingów i siedem pensów/ przekazał mi Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £10,715.14.11 /słownie: dziesięć tysięcy siedemset pięćdziesiąt pięć funtów, czternaście szylingów i jedenaście pensów/ 28 dolarów kanadyjskich, 108 pesetów hiszpańskich, 51/2 dolarów amerykańskich, 15 czerwienców i 100 milrejsów brazylijskich.

POSZUKIWANIA

Wszystkie osoby, mogące dać jakąkolwiek wiadomość o mjr. sap. EUGENIUSZU KRZEMIŃSKIM, do wojny zamieszkałym z rodziną w Czortkowie, proszone są o nadsyłanie ich do Adm. Polski Walczącej dla inż. S. JANUSZEWSKIEGO.

Pisma na Bliskim i Środkowym Wschodzie proszone są o przedruk. Redakcja "Polski Walczącej" jest w posiadaniu listu dla p. JANA WODZIŃSKIEGO.

Zbiórka książek

P. Ludwik Bojczuk przesłał: S. Zeromski: "O żołnierzu-tulaczu," "Antologia poezji współczesnej," Porucznik Herbert: "Żądło Genowefy."

Szkoła Pilotażu w N. przesyła komplet książek dla Polaków z Bliskiego Wschodu: H. Sienkiewicz: "Krzyżacy," A. Słonimski: "Alarm," A. Mickiewicz: "Księgi pielgrzymstwa i narodu," Godden: "Poland," S. Zeromski: "Wierna rzeka," "O żołnierzu-tulaczu," Jankowski-Serafiński: "Polska w liczbach," S. Mackiewicz: "Historia Polski," E. Curie: "Maria Curie," "Lotnictwo bombowe," N. Neugebauer: "Kampania wrzesniowa," /2 egz./ Z. Zalewska: "Wieczna warta," A. Fiedler: "Kanada pachnąca żywicą," i "Ryby śpiewają w Ukajali," X. Pruszyński: "Droga wiodąca przez Narwik," /3 egz./, Pietrkiewicz: "Po chłopsku," "Antologia poezji współczesnej," Jokay: "Poruszmy z posad ziemię," "Basic English," F.S.; "Miedzy Marną a Loarą," "Pomniki literatury," S. Wyspiański: "Warszawianka," M. Hemar: "Dwie ziemie święte."

P.T. "Polska Walcząca,"
 Załączone książki proszę przekazać dla Rodaków którzy potrzebują.
 Z poważaniem
 Sarnacki Paweł

Załączone: A. Dygasiński: "Z pod ciemnej gwiazdy," "Z Bogiem za wiarę i Ojczyznę."
 Bezimiennie: M. Norwid Neugebauer: "Kampania wrzesniowa," /2 egz./ H. Sienkiewicz: "Krzyżacy" tom I i II, Ks. Pruszyński: "Droga wiodąca przez Narwik," /2 egz./, Godden: "Poland," J. Pietrkiewicz: "Po chłopsku," Z. Zalewska: "Wieczna warta," Zeromski: "Wierna rzeka," "Antologia poezji współczesnej," St. Wyspiański: "Warszawianka," "Lotnictwo bombowe," "Pomniki literatury ojczyste."

Dla jeńców: "paczki od serca"

Sir,
 Please find enclosed a British P.O. of 20sh. as a contribution towards the fund for the Polish War Prisoners in Germany.

My friend and I are at present time both employed by the N.A.A.F.I. in Paiforce and this is a small contribution to help to relieve the suffering of our Fellow Countrymen.

Yours faithfully,
 M. Berlin
 M. Finkelkraut

Zamiast wienc na grób ś.p. Witolda Pikiela współpracownik Kwatery Prasowej Sił Zbrojnych składają na "paczki od serca" kwotę £11.

W załączeniu przesyłam Money Order na sumę £15.11.0 na fundusz jeńców P.C.K.

W tym dochód z zabawy urządzonej w dniu 28.I.44 przez Komp. Saperów Brygady Spadochronowej — £14.11.0

- Ofiarowane przez Mrs. J. Watt £0.10.0
- Ofiarowane przez Miss Miurr 5.0
- Ofiarowane przez Miss G. Hughes 5.0

razem £15.11.0

świetliczarka Jadwiga Masalska

Załączam Postal Order na sh.30 — złożoną przez kilku oficerów R.A.F. H... na ręce piersza Kółka Jajczarskiego — z przeznaczeniem na "paczki od serca."

Podpis nieczytelny

W załączeniu przesyłam "Postal Order" na 10sh. na "paczkę od serca" jako nieprzyjętą ofiarę przez ks. dziekana Szymała za ofiarę nabożeństwa na intencję mojej Matki.

Eugenia Dykasowa

Na "paczki od serca" dla jeńca według załączonego zyczenia £1.

L. Kosser

W załączeniu przesyłam sumę £40.3.4 /słownie: czterdzieści funtów, trzy szylingi, cztery pence/ na pomoc jeńcom, Polakom, w Niemczech, zebraną w styczniu przez uczniów i personel staly Dyonu Wyzkolenia Przedwstepnego /A.C.T.C./ w H. i F. Nadmieniam, iż z ogólnej sumy kwota £22.17.14 została przekazana przez Eszkolną w F., jako dochód z zabawy, urządzonej w dniu 1.II.44.

Adjutant Dyonu W.H. por.pl.

Bezimiennie z "somewhere in London" sh. 10. na fundusz "paczek od serca."

Łączną sumę zbiorów w dzisiejszym numerze £71.4.4. /słownie: siedemdziesiąt jeden funtów, cztery szylingi i cztery pence/ przekazał mi Sekcja Pomocy Polskim Jeńcom Wojennym Stowarzyszenia Służby Społecznej Kobiet.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £1,956.13.91 /słownie: tysiąc dziewięćset pięćdziesiąt sześć funtów, trzynaście szylingów, dziesięć i pół pence/ 50 milrejsów brazylijskich i 2 dolary amerykańskie.

Zawiadamiam, że w miesiącu listopadzie ub.r. personel staly uczeniowie Dyonu Wyzkolenia Przedwstepnego złożyli sumę siedemnaście funtów, czternaście szylingów na pomoc jeńcom polskim w Niemczech.

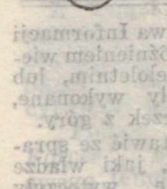
Suma ta została przekazana do "Administracji F.O.N. Darów" z przeznaczeniem na papierosy dla jeńców.

Adjutant Dyonu

WERINAJSEK

...SMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY WOJNA POTRWA TRZY TYGODNIE...

OBSERWATORZY



—Felu, teraz dopiero możesz zrozumieć Anglików i to, jacy są zamknięci w sobie. Nawet kolejka podziemna jest zamknięta w sobie...

Z KOMUNIKATÓW

—Nic nie rozumiem z tych doniesień o postępkach marszałka Tity w Jugosławii. Tam chyba robią sobie żarty! Stale tylko wymienia się — Białuluki...

AUTENTYCZNE

W czasie nadawania komunikatów radiowych Anglik zwraca się do polskiego kaprala:

—Nie rozumiem was Polaków — przecież powinniście się zgodzić na ustępstwa. Nie byłoby wam tak źle! Mielibyście w każdym razie swój rząd, samodzielność, armię! To, że byłby wasz delegat w Moskwie — można jeszcze przeboleć! W najgorszym razie byłibyście siedemnastą republiką!

—Owszem, tylko pod jednym warunkiem! My chcemy być osiemnastą republiką!

—Osiemnastą? Dlaczego? ??
 —Ponieważ związaliśmy się umową z Wielką Brytanią na śmierć i życie. Jeżeli Wielka Brytania zostanie siedemnastą republiką, my w godzinę później będziemy — osiemnastą...

ZROZUMIAŁ

Pewien młody żołnierz niedawno przybył ze Wschodu namietnie całuje Szkotkę. Mijają minuty a młody chłopiec nie odrywa warg od ust dziewczyny. Wreszcie po dziesięciu minutach Szkotka odzywa się: —Finish?
 —No, Polish!...

NIEZROZUMIENIE MIŁOSNE

Rzekł jej: trudno i darmo, muszę zdobyć panią!
 Nuż ją odtąd uwodzić i nastawiać na nią.
 Nie sądziła jednakże, iż powiedział mądrze:
 Trudno będzie — odparto. —Ale darmo? Skądże!

W KRAJU /AUTENTYCZNE/
 Co pan robi? Pracuję od rana do nocy.
 A żona? Żona także, aż po siódmej poty.
 No, a z czego żyjecie, bez żadnej pomocy?
 Syn nas wspiera. Na szczęście syn nie ma roboty.

W LONDYNIE

Raz pewien żółt i osioł pospół ruszyli w stronę stacji Victoria. Start był z Piccadilly.
 Kto pierwszy dobiegł mety? Wstyd mi, daję słowo:
 Żółt pierwszy. Osioł bowiem szedł — drogą służbową.

Jacek Lis

"KONFLIKT" POLSKO — SZKOCKI



Eec... mój Tatusi służy w polskich czołgach a Twój nie!...

SYNEK POLSKO — SZKOCKI



—Mamo, czy każdy minister podobny jest do balonu?
 —Dlaczego pytasz?
 —Bo tatuś mi mówił, że zawsze jest nadęty...

SMAKOSZ!

Do pewnego baru w Szkocji wchodzi kapral Czarnej Brygady. Jest podniecony a nawet zły. Zamawia whisky, płaci, wypija poczem chrupie kieliszek i polyka. Po chwili zamawia drugą whisky i znowu gryzie szkło. Płaci też i trzeciego "doubla" — zjada szkło i wychodzi.
 W barze wszyscy oniemieli z przestraszu. Uśmiechnięta jest tylko barmanka, która dorzuca:
 —Dziwny gość. Zjadł trzy kieliszki a najlepiej rzecz zostawił.
 —Jaką? — pytają goście
 —No, podstawki od kieliszka i szyjki.

DRUGI POCHÓD NA RZYM



Rzymski krok...

TRAFNA ODPOWIEŹ



—Tatusiu, dlaczego Amerykanie noszą paski także z tyłu czapki?
 —Ponieważ mają dużo kłopotów z przysięgą Europą i pęka im głowa!

Tekst i rysunki: TONY

Przyjezdni do Blackpool mogą znaleźć doskonale polskie potrawy w restauracji przy ulicy Titanic 4, Cheapside.

W dniu 10.II. o godz. 6-ej po południu odbędzie się w "Ognisku Polskim," /45, Belgrave Square, S.W.1., drugi odczyt z cyklu zainicjowanego przez Związek Dziennikarzy pt.:
 "Złudzenia i rzeczywistość — wojna, Europa, Polska",
 wygłosi go: Zbigniew Grabowski.
 Wstęp wolny.

SPIS RZECZY:

Bohdan Wroński: Panowanie na morzu. — Ryszard Kiersnowski: Wizja bosmana. — Zbigniew Grabowski: Szkic sytuacyjny. — Z tygodnia na tydzień. — M. J. Gordon: Nowości lotnicze. — Maria Brzeska: Polska — żywymi oczami. Powszedni dzień terroru. — Doc: "Lekkie siły." — Jim Poker: Ludzie z okretów. — Michał Czeczott: Polacy w Niemczech i mundurach. — H. S. Dominik: Rozmaitości wojskowe. — Wiktor Budzyski: Bez black-outu. — Zygmunt Fudakowski: Pożyteczna broszura. Skrzynka pocztowa. — Pomoc dla Polaków w Rosji. — Zbiórka książek. — Na "paczki od serca." — Tony: Werinajsek. — Fotografie. —

MINISTERSTWO WYZNAŃ RELIGIJNYCH I OŚWIECENIA PUBLICZNEGO
 BUCKINGHAM PALACE MANSIONS, BUCKINGHAM PALACE ROAD, LONDON, S.W.1.
 zawiadamia o wydaniu podręcznika
 KS. PIOTR NOWAK
WYPISY
 do nauki prawd wiary w 1. kl. Liceum Ogólnokształcącego
 Str. 136. Cena 3/-
 Do nabycia w polskich księgarniach i kioskach.

BĄDŹ RZEŹKI
 Nie upadaj na duchu z powodu zmęczenia lub pogarszającego się stanu zdrowia. Używaj pasa LINIA BELT, który umieszcza opadnięte organa wewnętrzne i działa jako masaż, usuwający tłuszcz oraz przywraca młodzieńczy wygląd.
 Ograniczoną ilość pasów Linia Belt ofiarowuje.
 J. ROUSSEL LTD.,
 179-181 Regent Street, London, W.1. tel REG 7570
 oraz w Birmingham, Glasgow, Liverpool, Manchester itp
Używaj pasa LINIA BELT

WYDAJE WYDZIAŁ PRAC KULTURALNO-OŚWIATOWYCH MIN. OBR. NAROD.
 Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLBORN 7600. I-e piętro.
 Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-iej—13-iej.
 Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.
 Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.
 Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden lam—sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.
 Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.
 Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingway, W.C.2 Registered at the G.P.O. as a newspaper.

BE TALLER!
 INCHES PUT YOU MILES AHEAD!
 Increased my own height to 6ft. 3 1/2 ins.
 CLIENTS GAIN 1 to 6 inches No Appliances—No Tablets—No Dieting
 Ross System Never Fails Fee £2 2s. Complete Details 6d. stamp
MALCOLM R. ROSS
 Height Specialist
 5M/Hyde, London, W.C.1